

# P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV \* WARSZAWA \* SOBOTA — CENA 50 GR. — 25 STYCZNIA 1936 R. \* NUMER 4 (121)

TREŚĆ: W. RUDZKA: Józef Piłsudski o roku 1863 \* W. ZAWISTOWSKI: Falszywe przesłanki i hołesne wnioski \* K. W. ZAWODZIŃSKI: Było inaczej \* WACŁAW OLSZEWICZ: Polski Gdańsk o sobie \* MARJAN HENZEL: Wystawa flamandzka w Paryżu \* SZTUKA I ANTENA — WITOLD HULEWICZ: Polski



program radiowy po 10 latach \* WŁ. SEBYLA, Z. MIANOWSKA, ST. WESTFAL: Powieść \* KAROL IRZYKOWSKI: Teatr \* ST. SZCZ., T. GOŁĘBIEWSKI: Nauki społeczne \* W. BĄK: Przegląd prasy \* A. CZYZEWSKI: Kronika \* Wydawnictwa periodyczne.

## JÓZEF PIŁSUDSKI O ROKU 1863

Józef Piłsudski był spadkobiercą tradycji powstańczych, był następcą i kontynuatorem ruchu 63 roku. Ujął w swe dłonie skrwawione sztandary, wziął na siebie obowiązek walki. Nie na tem przecież ogranicza się jego do powstania stosunek. Piłsudski w atmosferze domu, przesiąkniętej kultem dla 63 roku, nauczył się powstanie wielbić i kochać. Było ono tworzywem dla snucia codziennych dziecięcych marzeń i fantazji, kształciło wyobraźnię, rozpalalo serce. I tak zostało już na całe życie. Zawsze powstanie uwielbiać będzie i szukać w niem natchnienia dla swego czynu. W duszy Piłsudskiego niema przecież ani trochę bierności, żywa inteligencja nie pozwala na ślepe uwielbienie, to też szybko budzi się w nim pragnienie poznania istotnej o powstaniu prawdy, budzi się krytycyzm, budzi się wreszcie chęć rozumowego uzasadnienia własnych uczuć dla minionych wydarzeń; Piłsudski zostaje nie tylko następcą, nie tylko naśladowcą i wielbicielem, ale również i historykiem powstania 63 roku. Pragnie dotrzeć do jądra wydarzeń — pragnie wskrzesić przeszłość, wydobyć z mroków zapomnienia rzeczywistość wysiłki, rzeczywiste zasługi. „Wgryzałem się niegdyś w prawdę — powie po latach — szukając w wielkim roku wielkości mego narodu, szukając w wielkim ruchu wielkości mejej ojczyzny“.

Wiadomości o powstaniu czerpie Piłsudski przedewszystkiem z tradycji rodzinnych, z opowiadań najbliższego otoczenia w dzieciństwie. Urodzony w latach najbliższych po wypadkach w Polsce, syn komisarza cywilnego Rządu Narodowego na Żmudzi, wychowywał się w domu pełnym wspomnień, pełnym smutku i bólu wywołanego klęską. Matka podtrzymuje nastrój uwielbienia dla bohaterów minionej walki. Nazwem młody Piłsudski styka się z potępieniem, z krytyką, z naganą czynu 63 roku. We wrażliwym umyśle powstaje pragnienie rozwiązania zagadki tych różnic w poglądach otoczenia. Po tem jako młodzieniec na sybirskim wygnaniu w Tunce spotyka i zawiera przyjaźń serdeczną z Bronisławem Szwarce, jednym z czynniejszych i wybitniejszych działaczy z okresu bezpośrednio powstanie poprzedzającego. Teraz ma Piłsudski okazję wniknąć w tajniki pracy konspiracyjnej czerwonych, poznać wszystkie tarcia, wahania, wątpliwości i wysiłki poprzedzające wybuch walki. To zetknięcie ze spiskowcem z przed lat przeszło trzydziestu, te długie wieczorne rozmowy, prowadzone na dalekich sybirskich polach, szły błądzącą będącą mściwymi, rozpalać duszę przyszłego wodza, będąc też oświecającą, a poczęści sugestjonującą przyszłego historyka. Wiadomości zaczerpnięte od Szwarcego, w takich wyjątkowych okolicznościach, są jednym z ważniejszych dla Piłsudskiego źródeł. Wydarzenia 1905 roku dają mu możliwość zapoznania się z rewolucją od wewnątrz, co, jak sam stwierdza, pozwala na zrozumienie całego szeregu zjawisk z okresu powstania. Dalszym etapem w ustosunkowaniu Piłsudskiego do powstania będzie już praca o charakterze naukowym, podjęta po latach kilku w Krakowie. Sięgnie wówczas do pamiętników, szukając bezpośredniego zetknięcia z epoką, którą badać zamierza. Boleje nad brakiem materiałów, jakie w normalnych wojnach pozostają w postaci rozkazów, raportów, w postaci całego aparatu pomocniczego, na piśmie prowadzącego swe czynności. Materiał urzędowy rosyjski jest wtedy oczywiście niedostępny. Również materiał archiwalny — zbiory rapperswilekie, jeszcze nie uporządkowane i odległe, wymagałyby zbyt dużo czasu i pracy, jakiej Piłsudski nie

może poświęcić bądź co bądź pobocznym tyłkom zainteresowaniom.

W okresie krakowskim, w roku 1912, powstają dwie większe prace Piłsudskiego o roku 63. Jedna p. t. 22 stycznia 63 roku i druga, obejmująca szereg odczytów, wygłoszonych w szkole Nauk społeczno-politycznych w Krakowie, zatytułowana *Zarys historii militarnej powstania styczniowego*. Obie te rzeczy mają charakter specjalny, wojskowy i z tego punktu widzenia rozpatrują zagadnienie. Zagadnienie w tym momencie dla Piłsudskiego niesłychanie ważne i niesłychanie aktualne. Tworzy właśnie zaczątek przyszłej armji, tworzy organizację, szykuje następny jakby etap powstania. Dziś bardziej niż kiedykolwiek pragnie „wgryźć się w prawdę“, bo dziś trzeba mu nauki i ostrzeżenia, dziś prócz natchnienia czerpać musi z przeszłości przestrogi, pragnie nie naśladować, lecz unikać błędów, gdyż stoczyć chce walkę zwycięską.

Po dwunastu latach wypełnionych pracą aż do ostatnich godzin i chwil, w okresie krótkiej przerwy w intensywnym życiu, Marszałek Piłsudski z rozkoszą powraca do swej ulubionej pracy historyka. Nie czas mu dzisiaj rozpoczynać drobniagów badania przeszłości — stać go już na śmiałą syntezę, na ujęcie w pewną ogólną całość własnych poglądów na rok 63. Wobec wypełnionej po brzegi wielkiej sali wygłasza Marszałek w 1924 r. swój przepiękny odczyt o powstaniu. Prócz ogólnej oceny wydarzeń rzuca tu cały szereg ciekawych uwag i wskazań dla przyszłego historyka. W kilka miesięcy później w swoim rodzinnym Wilnie, gdzie snuł pierwsze dziecięce marzenia, na zaproszenie Uniwersytetu wygłasza trzy publiczne wykłady pod tytułem *Wpływ wschodu i zachodu na Polskę w roku 1863*. Daje w nich ogólną charakterystykę epoki, charakterystykę ówczesnego „stylu“.

Piłsudski stwierdza brak zainteresowania historyków okresem naszego ostatniego powstania. Istniejące prace, a przedewszystkiem dzieła Przyborowskiego, zawierają cały szereg zasadniczych błędów i całe ustępy fałszywie i niesmacznie oświetlające zdarzenia. Już w 1896 roku wyraża Piłsudski dezsyderat, aby Szwarce opracował swoje wspomnienia, gdyż „czas ten u nas tak mało jest znany, osobliwie organizacja ich wewnętrzna, przeszkody jakie napotkali oni, spory ich w łonie organizacji“, to samo podkreśla w r. 1912. W przedmowie do odczytu warszawskiego, zaznaczając, że „powstanie 63 roku czeka dotąd jeszcze na swoją historję“ — wyraża nadzieję, że znajdą się historycy, którzy tej epoce, ułomowanej przez Marszałka, poświęcą swoje siły i pracę. Potrzeba jest tem większa, sprawa tem pilniejsza, że w braku opracowania krytycznego o powstaniu sądy swoje opieramy na legendach. A „historja odrzuca powłoki i skorupy legend, szuka prawdy życiowej, jądro prawdy wyluskuje i okazuje przed oczy“. Marszałek w imię tej prawdy historycznej pragnie obalić fałszywe legendy. Przedewszystkiem stwierdza podwójny sąd, podwójne oświetlenie, jakim przez szereg lat wieku przeszłego darzono powstanie. Uwielbiano je, podziwiano i równocześnie potępiano, jako wynik lekkomyślnego młodzieńczego szaleństwa. Ta sprzeczność sądów zaważyła niemało na ocenie naukowej powstania, potępieniem hańbiono własne bohaterstwo. Na tem tle utrzymuje się fałszywa opinja o całym szeregu wydarzeń i faktów z tamtej epoki,

czyniąc krzywdę zasługom i wysiłkom ojców i dziadów. Tak np. zwalcza Marszałek drobną sprawę, a mianowicie przekonanie o jakimś nieszczerym, sentymentalnym smutku, który miał przepelniać dusze powstańców. Przeciwnie, w powstaniu pełno jest radośnego zapału, brawury, na śmierć lub więzienie młodzież nasza szła buńczucznie i wesolo. Również zrewidowania wymagałby ogólny pogląd o wrogim do powstania stosunku włościan. Sprawa ta, bardzo ważna, zasługuje na dokładne zbadanie. Piłsudski podkreśla, że udział chłopów w walce wzrastał z miesiąca na miesiąc, że nawet pewne próby przymusowego poboru dawały całkiem dodatnie wyniki. Wpływ dekretów Rządu Narodowego trwał przez długie lata. „Walka o duszę włościańską i konkurencja carska z tradycjami powstania stanowiły przez cały czas panowania u nas Rosji niezwykle ważny czynnik życia politycznego i społecznego“. Jeszcze jedna legenda fałszywa otacza rok 63, jest to legenda zgody narodowej i jedności. „legenda trouga dei“ — jak ją nazywa Marszałek. Tymczasem zgody tej nie było, były partie nienawidzące się wzajemnie, była niechęć i niemal wojna domowa, ludzie stali się jakby wulkanami, wyładowującymi swe namiętności. W Rządzie Narodowym tarcia prowadziły aż do zamachów, do zmian i przewrotów. Piłsudski widzi tylko dwie epoki, kiedy wzajemne spory i niechęci były tak zacięte — jest to czas upadku i odrodzenia państwa Polskiego.

Rozbiorem krytycznym wydarzeń zajmują się Piłsudski tylko w stosunku do posunięć wojskowych. Gani przedewszystkiem przygotowania przedpowstańcze. Komitet Centralny myślał jedynie o agitowaniu społeczeństwa, o propagandzie zamierzonego czynu, pomijano stronę szkolenia przyszłych żołnierzy, źle zorganizowano dostawę broni. Jedyną placówką wojskową była szkoła oficerska w Genui i Cuneo; jej też pamięć jest specjalnie miła sercu Marszałka. Spisek oparty był na systemie dziesiętnym, niesprawdzone jednostki istniały raczej w wyobraźni przywódców niż w rzeczywistości. Piłsudski rozumie ten błąd i poczęści usprawiedliwia: walkę szykowali rewolucjoniści, wierzący w siłę rewolucji, polegającej na tem „co się w głowach ludzkich dzieje“. Siła moralna w roku 63 była wielka, o wiele większa niż podczas powstania listopadowego, sięgano do całego narodu, szukano oparcia o wewnętrzne walory społeczeństwa. Ale jednak wojna musi mieć materiał techniczny, samą siłą moralną prowadzić jej niepodobna. Wiara w tę siłę dała przywódcom powstania iluzję i złudzenia, które zaszkodziły sprawie. Sam Piłsudski wyciąga w 1912 roku wnioski bezpośrednie dla siebie. On nie chce błędów powtarzać i dlatego tworzy przedewszystkiem armję, kształci jej przyszłych oficerów.

Dalszymi błędami 63 roku był brak stanowczej decyzji w momencie wybuchu, brak inicjatywy, brak planu wojennego i naczelnego kierownictwa wojskowego. Nieszczęściem — brak wielkiego człowieka. Marszałek Piłsudski kilkoma słowami charakteryzuje wybitniejsze postaci powstania — wskazując, czemu żadna z nich nie posiada piętna wielkości. Wielkim nie był naprawdę nawet Traugott.

Piłsudski czuje przez całe swe życie wielkość bijącą z tragicznych kart opisujących dzieje powstania, w głębokim wysiłku umysłowym pragnie znaleźć uzasadnienie swego uczucia, pragnie dociec, na czem

wielkość powstania polegała. Rzuca więc sobie palące pytanie: „Wielkości, gdzie twoje imię? Wielkość — bo tylko ona umożliwiła mogła nierówną walkę, tylko ona obudzić mogła tyle bohaterstwa i wytrwania. „Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Gdy wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach“. Symbolem siły i wielkości 63 roku była pieczętka Rządu Narodowego. Pieczętka ukrywająca poza sobą rząd nieznaną społeczeństwu, składający się z młodych ludzi, jakichś studentów, oficerów, urzędników — a posiadający powszechny posłuch i powszechne zaufanie. Na widok pieczętki milki spory i właśnie, ludzie wprawdzie pozostawali sobą, ale „umieli się przewyciężyć, a przy tem zwycięstwie nawet ludzie mali stanęli do pracy jako ludzie godni swojej epoki“. Wielkością 63 roku jest cud pracy, ogrom siły zbiorowej, zbiorowego wysiłku i woli. Komitet Centralny, a potem Rząd Narodowy, stworzył organizację cywilną kraju tak świetnie, że służyć może za wzór dla wszystkich organizacji rewolucyjnych. „Wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 63 roku istniała, a polegała ona na jednym może w dziejach naszych rządów, który, nieznanzy w imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zardrość wzbudzić może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów“. „Oto co czyni potęgą moralną, która uderzenia słabe robi uderzeniami olbrzymia. To nie jest ta siła materialna, słaba i nikła, to jest owa potęga moralna rewolucji, która działa, potęgując słabość fizyczną“. Oto była wielkość powstania, słuszenie odczuwana przez pokolenie następnę.

Rok 63 był wynikiem prądów, jakie ożywiały Polskę, a które pokrywały się całkowicie z prądami nurtującymi całą ówczesną Europę Zachodnią. Jest to czas powstawania nowej struktury politycznej i ideowej państw. Jest to czas przełomowy, dla nas zwłaszcza — czas, kiedy sprawa polska z żywotnego zagadnienia ogólnoeuropejskiego spadła do roli drugorzędnej. Kiedy nawet w psychice Polaków zamiera obraz realny dawnego państwa, kiedy rozpoczyna się małość, rezygnacja, upadek ducha.

Powstanie zaważyło przemożnie nad dalszemi losami Polski. „W najdrobniejszym zakątku życia społecznego Polski, w każdej kwestji poważniejszej, gdy ją chciał badać genetycznie, znajdowałem olbrzymi wpływ wypadków 63 roku“. Powstanie też wychowało swego następcę. Podczas pracy konspiracyjnej Piłsudski od skromnego rzemieślnika w Siedlcach otrzymał kiedyś jak świętość najwyższą, jak błogosławieństwo na dalsze życie — papierek Rządu Narodowego z jego symboliczną pieczętką. W 1912 r. stwierdza Piłsudski: „Szczerze pragnę zbudować most między teraźniejszym pokoleniem, a pokoleniem 63 roku“. Ten most w postaci swego czynu zbudował, a pismami swymi napisanymi pod wpływem silnych przeżyć w związku z 63 rokiem, pod wpływem namiętnej potrzeby szukania prawdy, pełnymi gorącego uczucia i głębokich przemyśleń, torował drogę prawdzie, szukał nauki dla siebie i swego pokolenia. To też niedarło kończy swoją historję powstania słowami: „Gdybym miał przed sobą ludzi z tamtych czasów, to powiedziałbym mi tak, jak ja to sobie nieraz mówię sam: „zginęliśmy niedarmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może“.

W. RUDZKA

K 1669/86/12

Biblioteka  
UMCS  
Lublin

# FAŁSZYWE PRZESŁANKI I BOLESNE WNIOSKI

(DYSKUSJA Z BOYEM-ZELEŃSKIM W SPRAWIE ORGANIZACJI TEATRALNEJ)

Imprezy artystyczne, prowadzone trybem społecznym, tę mają wyższość nad prywatnymi, że stwarzają dokola siebie atmosferę dyskusji. Prywatnego dyrektora teatru lub prywatnego wydawcę książek można ostro krytykować, ale niepodobna prowadzić z nim sporów naserjo: wszelki spor toczyć się musi w równych warunkach dla stron obu — nie można wszystkiego sprowadzać do prawd ogólnych tam, gdzie interes osobisty stwarza przesłanki, wymykające się wszelkiej ocenie. Trudno go nawet częstokroć odcyfrować w splocie powikłanych działań.

Dlatego to trzy artykuły dyskusyjne, które Boy-Zeleński ogłosił ostatnio w *Kurjerze Porannym* p. t. „Rok teatralny“ (dn. 1 — 13 stycznia b. r.), a dotyczące organizacji i działalności Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce, nie mają charakteru rozważań teoretycznych. Już sam fakt przesunięcia dorocznego bilansu z czerwca na styczeń i bardzo niewygodna zamiana sezonu teatralnego na rok kalendarzowy, czego, zdaje się, Boy-Zeleński nigdy dotąd nie czynił, świadczy, że odegrały tu rolę powody specjalne, dalekie od inwentaryzatorskich nawyków i zwykłej dziennikarskiej tradycji. Poprostu autor rozważań pragnął, aby argumenty jego i rozumowania miały wyźwięk praktyczny, aby, wysłuchane już teraz, mogły zaważyć na decyzjach dotyczących organizacji przyszłego sezonu, zapadających zazwyczaj gdzieś koło kwietnia. Tem się tłumaczy również perswazyjny ton tych artykułów, poza kilku wspomnieniami natury osobistej, zabarwionymi tonem bardziej namiętnym, jak najbardziej spokojny i rzeczowy.

Nie więcej pocieszającego jako objaw. Boy ubolewa wprawdzie, że Towarzystwo nie dojrzało „w przedstawicielach prasy życziwych doradców, zatroskanych o wspólne dobro“, ale się to chyba dowodem, że Boy objawów tego zatroskania poważnie nie czytał — poza nielicznymi wyjątkami wszystko tam było: insynuacje, obelgi, kłamstwa, fałsze, tylko nie „zatroskanie o wspólne dobro“, nie dyskusja, nie chęć dopomożenia i naprawy. A tematu oczywiście by nie brakło. Jakkolwiek bowiem twierdzenie Boya-Zeleńskiego o chronicznym przesileniu w Towarzystwie jest zwykłą dowolnością, nie ulega żadnej wątpliwości, iż właśnie w T. K. K. T. gotowość poprawiania, przekształcania, ulepszenia norm organizacyjnych była nieustanna, że co jak co, ale megalomanji czy hezkrzytycznego zadowolenia z własnego dzieła zarzucić władzom Towarzystwa niesposób. Dlatego też — powiedzmy to wyraźnie i otwarcie — rzeczowa, szczerza, męska dyskusja na tematy organizacyjne z takim znawcą teatru, jak Boy-Zeleński, mogła być tylko powitana z najżywieższym zainteresowaniem.

Niestety jednak — i to znów trzeba jasno powiedzieć — zawód był bardzo dotkliwy. I nawet nie dla braku pozytywnych wniosków, nie dla ograniczenia się w dyskusji do momentów wyłącznie negatywnych, a więc z konieczności jednostronnych — boć przecież krytyczne prześwietlenie zagadnienia może dać również poważny materiał do wniosków, — ile dla nieścisłości przesłanek, na których autor oparł swoje wywody oraz dla dziwności drogi, jaką biegnie jego rozumowanie od owych przesłanek do zawsze bolesnych, zawsze przepojonych krytycyzmem wniosków. Bo już trzeba przyznać teatrowi jako tematowi dyskusji, że szczególnie ma szczęście do dziwnych rozumowań nawet wśród umysłowości skądinąd znanych z dialektycznej świetności.

Jak bowiem rzadka jest dokola teatru atmosfera dyskusji, tak znów jest częsta atmosfera plotki. Obok teatru i zachodzących w nim faktów istnieje zawsze „druga rzeczywistość“, złożona z miliona wersji, powiedzeń, sądów i mniemań, które z kolei wytwarzają pewne „prawdy“ mające kurs stały, nie dające się wypełnić ani poprzez sprostowania, ani zapewnienia, ani dowody i dokumenty. Jestem pewny, że jeszcze za lat dwadzieścia pięć ten czy inny z dziś młodych aktorów, wówczas sławny i u szczytu kariery, przypominając sobie będzie dokładnie, jakie to penje pobierali członkowie zarządu T. K. K. T. Zamiast więc dyskutować z Boyem odrazu zagadnienia organizacyjne, trzeba z konieczności zacząć od szeregu sprostowań. Od pierwszego słowa pierwszego zdania artykułu. „Dorocznym zwyczajem“ — pisze w styczniu znakomity krytyk... Ale nie przyczepiamy się do drobiazgów.

Przerostowi administracji przeciwstawia Boy inny typ teatru, w którym „dyrektor gra na scenie Hamleta a żona jego siedzi w kasie i jakoś wychodzą na swoim“. Wielokrotnie i najbardziej autorytatywnie stwierdzano, że o przeroście administracji w teatrach Towarzystwa nie może być mowy, że jednym z niewątpliwych plusów komasacji kilku scen pod jednym kierownictwem są

oszczędności na administracji. Dokładne cyfry, dające możność porównania dawnych teatrów dyr. Szyfmana z b. teatrami miejskimi i dzisiejszemi Towarzystwa byłyby z pewnością do dyspozycji Boya, gdyby się o nie zwrócił. Gdzie zaś autor artykułu widział ów błogosławiony teatr, w którym mąż Hamlet i żona kasjerka wychodzą na swoje, pozostanie jego tajemnicą. Dziś w takim teatrze mąż grywa istotnie Hamleta, ale żona jest wówczas z reguły Ofelją, w kasie zaś przesiaduje sekwestator lub komornik. Przypuszczam, że Boy życząc Towarzystwu sekwestratora i komornika w kasie („błogosławimy tę okoliczność, że finanse nie dopisały...“), nie życzy sobie dyrektorowej — Ofelji. A może pragnie, aby dyrektor zagrał Hamleta?

Towarzystwo jakoby jest winne rozchwiania się dyrektorów teatralnych, którzy, zamiast prowadzić swoje teatry w ciszy i spokoju, uprawiają rozrób publiczny, szcując biednych dziennikarzy i recenzentów, lżąc ich, tak, że, mówiąc słowami Boya-Zeleńskiego, „zdarzył się niechwały w dziejach scen naszych fakt: brutalne, obelżywe niemal wypadki dyrektorów przeciw krytyce“. Jak wiadomo, Boy nie jest historykiem teatru, to też w ustach jego wyrażenie „niechwały w dziejach teatru“ należy rozumieć jako zwrot retoryczny. Skąd bowiem Boy może pamiętać tak odległe z okresu przed Towarzystwem wypadki, jak kampanje polemiczne dyr. Szyfmana w czasach jego dyrektury prywatnej w piśmie wydawanym przez teatr, a nawet w osobnej broszurce, albo też dyr. Jaracza przed rampą odczytującego wypadki przeciwko krytykowi? Natomiast w piśmie Teatrów Towarzystwa, w *Teatrze*, nigdy p. Boy-Zeleński żadnych ataków nie czytał, gdy zaś wywiązała się polemika na łamach pism codziennych, to dlaczego ma być tak, że wyrażenia brutalne krytyka nazywają się „troską o wspólne dobro“, a gorętsza nieco reakcja „obelżywami wypadami“? Czyżby krytyk był przez prawa zwyczajowe broniony przed kontragresją? A może poprostu dyrektorom teatru niewolno jest pisać dobrze; możeby lepiej było, aby to ów symboliczny Hamlet polemizował z Boyem i dawał okazję do obserwacji: iak bardzo jest w tej dziedzinie... niezdarzy?

Przejdźmy teraz do spraw o wiele ważniejszych, o których wprawdzie Boy mógł być źle poinformowany, ale nie powinien był ich w takim razie podawać do wierzenia. Otóż jakoby skutkiem powstania Towarzystwa wyczerpane zostały źródła subwencyjne, które mogłyby zasilać szereg innych teatrów. Ministerstwa, Zarząd Miasta, najpoważniejsze instytucje kredytowe — wszystkie te czynniki składają się na subwencje Towarzystwa, zamiast je rozprowadzać równomiernie po różnych instytucjach. To, że przez powstanie Towarzystwa nie ucierpiał pod względem subwencji ani jeden teatr w Polsce, że Towarzystwo poszło szukać dla teatru pomocy tam właśnie, gdzie jej teatr nigdy dotąd nie doznawał, że rozszerzyło znacznie ramy tej pomocy, niczego nie uszczuplając, o tem Boy zdaje się nie chce wiedzieć, choć wiedzą o tem wszyscy, którzy się z życiem teatru stykają. Ale supozycja, że żaden teatr w Warszawie poza Towarzystwem nie mógłby liczyć znikąd na pomoc finansową, jako „niepożądana konkurencja, niemal warcholstwo“ — to już jest jaskrawym objawem metody stosowanej przez publicystykę przy omawianiu polityki subwencyjnej. Boy zna tę metodę doskonale: oto p. Słonimski od czasu do czasu rozdziera z oburzeniem szaty, że wydawnictwo tak pomnikowe jak „Biblioteka Boya“ oczywiście nie otrzymuje żadnej pomocy, właściciel i wydawca tej biblioteki skromnym milczeniem zdaje się potwierdzać tę smutną prawdę, a tu nagle czytamy w sprawozdaniu jakiegoś resortu w sejmie, że właśnie to wydawnictwo otrzymuje pomoc finansową.

Gdy więc p. Boy-Zeleński imputuje teatralnej polityce subwencyjnej niemal handlowe założenia tępienia konkurencji, a w rzeczywistości teatry warszawskie, będące poza Towarzystwem, nietylko nie są zwalczane, ale wprost subwencjonowane, to trudno się oprzeć wrażeniu, że dowolność staje się tu czemś niepokojącym. Tak jest — do dziś dnia, i zapewne zawsze w przyszłości t. zw. teatry konkurencyjne Towarzystwa były, są i będą finansowo popierane. A to bynajmniej nie przez wielotorowość, ale właśnie przy daleko idącej współpracy i uzgodnieniu pomiędzy poszczególnymi źródłami. Dlatego to wszelkie efektowne uogólnienia, które p. Boy na tych przesłankach operuje, uderzają w próżnię. A przykłady, które mnoży z tego powodu, mnożą tylko listę nieścisłych informacji. Pod tym względem przykład z t. zw. Teatrem Poredy może być uważany za klasyczny.

Teatr Poredy, wedle Boya-Zeleńskiego,

cieszył się dużą frekwencją. Niestety znam wykazy dochodów tego teatru i nawet w granicach cen najniższych nie można tego uznać za fakt autentyczny. Teatr Poredy znalazł się w położeniu krytycznym. „Nie znaleźli nigdzie pomocy“ — pisze teraz p. Boy-Zeleński. Prawda, pomoc, którą znaleźli, nie była wielką, ale właśnie Boy-Zeleński pisał wówczas w swem piśmie, że pomoc tę znaleźli. Bo znaleźli ją i dzięki niej przetrwali do końca sezonu. Boy-Zeleński insynuuje niezwłocznie, że powodem braku pomocy była chęć usunięcia ewentualnego kandydata do roli teatru popularnego, który zamierzało utworzyć Towarzystwo. Tak więc wielki rekin Towarzystwa połknął małą płotkę. Było zaś wręcz odwrotnie. Towarzystwo znacznie później, już po okazaniu tej pomocy Poredzie, przystąpiło do studjowania zagadnienia teatru popularnego i właśnie Poreda, właśnie kierownik tego teatru i właśnie z powodu wyników pracy tego teatru był pierwszym, z którym Towarzystwo jeszcze nieoficjalnie rozmawiało na temat teatru Popularnego. Dlaczego koncepcja ta nie doszła do skutku, wie najlepiej p. Poreda. Ale nieścisłości w tej sprawie jest jeszcze więcej. Nie wyrzucano ani wielu, ani żadnych pieniędzy na teatr Powszeczny, gdyż zmontowano go bardzo prymitywnymi środkami i można Boya zapewnić, iż żaden inny zespół nietylko „za drobną cząstkę“ ale wogóle za mniejszą cenę nie podjąłby się prowadzenia tego teatru, którego budżet opracowany został z wielkim dla pieniędzy publicznych respektem. Wreszcie — trzeba to stwierdzić — teatr Powszeczny Towarzystwa rozwija się coraz lepiej, mimo niezmiernie trudnych warunków daje coraz konkretniejsze rezultaty i mimo nieuczciwości prasy od samego początku — zdaje się, że da sobie rady. Czy to nie za wiele „nieścisłości“ jak na jeden „przykład“?

A teraz, zanim przejdźmy będzie można do zasadniczego zagadnienia, poruszonego przez Boya w jego artykułach — do błędów organizacji, która, wedle słów jego, zabija duszę teatru, jeszcze jeden przykład z dziedziny dialektycznej: jak to z owych nieścisłych przesłanek wyprowadza się najdziwniejszą drogą bolesne pozornie, w gruncie rzeczy najzupełniej fałszywe wnioski.

Atakując kierownictwo teatrów Towarzystwa za współczesny repertuar tłumaczony, pisze Boy, że odpowiedzialność za ten fakt spada tem dotkliwiej na Towarzystwo, iż żaden teatr warszawski poza Towarzystwem stojący „nie ma prawie możliwości zdołania interesującej nowości cudzoziemskiej“. Boy nie podaje powodów takiego przypuszczenia, ale pozwala się domyślać, że zdobywanie egzemplarza, zadatkowanie go i nabycie należy od posiadanych środków pieniężnych, że więc słaby teatr prywatny nigdy nie ubiegnie tu zasobnych teatrów Towarzystwa. Krótko mówiąc, że w dziedzinie repertuaru tłumaczonego Towarzystwo posiada faktyczny monopol.

Przypuścimy, że Boy ma rację. Że Towarzystwo każdą najlepszą sztukę sprzątnie innym konkurentom przed nosem. Co z tego za wnioski? Że gra wszystkie sztuki najlepsze. Tymczasem Boy właśnie cały prawie feljton poświęca krytyce tego repertuaru i przychodzi do wniosku, że teatry Towarzystwa nie umieją zdobyć dostatecznej ilości sztuk dobrych, że utworów tej kategorii wystawiają bardzo mało, a te które wystawiają, w znacznej części są marne. Dlaczegoż to więc inne teatry, nawet przytłaczane przez bogactwo środków Towarzystwa, nie miałyby grać owych dobrych sztuk, niezauważonych czy niedocenionych przez teatry Towarzystwa? Albo — albo. Albo Towarzystwo zabiera konkurentom sztuki najlepsze i ma przynajmniej za usługę grania własnie sztuk najlepszych, albo zasługi tej nie posiada i wówczas nie jest przeszkodą dla innych teatrów w zdobywaniu wartościowego repertuaru. Chyba, że Boy podejrzewa system kupowania sztuk na skład, żeby samemu nie grać i innemu nie dać. Byłoby to prawdziwa rewelacja — w teatrach Towarzystwa i wszystkich innych słabe sztuki, a w bibliotece T. K. K. T. prawdziwe skarby. Tak, w tym wypadku trzeba by Towarzystwo niezwłocznie zamknąć za działalność złośliwą... i fantazyzną.

Tak przedstawiają się próbki rozumowania, które od przesłanek nieścisłych lub wątpliwych wiedzie ku wnioskom niewątpliwie już niesłusznym i załamującym obraz rzeczywistości. Dopiero po wyjaśnieniu błędów tej metody można przystąpić do omówienia sprawy zasadniczej: wad i zalet organizacji Towarzystwa — tak, jak je przedstawiają artykuły Boya, i tak, jak one wyglądają naprawdę.

W. ZAWISTOWSKI

## BYŁO INACZEJ \*

„Schowanego w wieży Popiela umorzono głodem, w zamku księcia rozgłoszili się nowi ludzie, nazywali się Piastowicze (Piastowcy chyba? p. m.), na ich czele stał starzy Piast z chaty.

— Nasz to kraj?

— Nasz, nasz!

— Nasze wiec z a słowiańskie!

— Nasze, nasz! Krzyżowała ciżba w kożuchach, w pachnącej wiosenne wieczory, zbierając się nad wodą jeziora i na mostach, na wiec z bójką na k u l a k i...“ (podkreślenia wszędzie moje).

Wydawałoby się: jezioro Ilmień i mosty Nowogrodu Wielkiego, ale nie: — Swój naród! Nie czyj tam! Nie pański, nie popiełski! — wolali starzy i młodzi Piastowicze, a raczej Piastowcy (str. 9).

„Gnieźno stało na miejscu skały Orlów (miasto Lecha) — życie w niem było starsze o sto lat w porównaniu z Kruszycą Popiela i Piasta“. *Ausgerechnet* — sto — autor lubuje się w ścisłości — Ruś udzieliła się na „siedemdziesiąt dwa księstwa“ (str. 46), Henryk Walezy „przywiózł ze sobą z Paryża dwa myśliwskie drapieżne sokoly“ (str. 119).

„Świat wygląda dziś (za Mieszka I) na średniowieczno. Wojsko i panowie nauczyli się chodzić po niemiecku, przy broni dzień i noc, w rzymskich ubraniach — już tylko czarny naród (por. rosyjskie „czornyj narod, czerń“ p. m.) chodzi w swych zwierzęcych kożuchach“ (str. 12).

„Synu, trzymaj mocno, nie popuść. — Bolesław trzyma rękę umierającego ojca...

— Dobrze, tato, powiada.

— Wszystko zrozumieć, niczego nie przebaczyć — mówi Mieszko“ (Pierwszy, z wielką dla konającego przytomnością ducha parafrazując aforyzm o siedem wieków późniejszy: tak wielkie jest jego życie się z kulturą francuską!) (str. 15).

W Gnieźnie chodził po ulicach Św. Wojciech, c h o c i a ż wtedy nie był jeszcze świętym“ (ib.).

„Chłostały go (Bolesława) w i e n n i k a m i i łazibne młode dziewczyny, potem on je chłostał, każąc im się rozbiierać do naga...“ (str. 18).

\* JULJAN WOŁOZYŃSKI: *Było tak*. Lwów—Warszawa (1935). „Książnica-Atlas“.

„Ich (Bolesława Chrobrego i Ottona III) usta pocuszały się, reformując w planach i w a r z Europy“ (str. 20).

„Bolesław powiedział:

— To te rzeczy... i urwał.

Odpowiadał spokojnym już silnym głosem...

— To tak... powiedział Bolesław, gdy został z cesarzem razem.

— To dla nich — odpowiedział cesarz.

„Siedli przy kominie...“ (str. 21) i tak dalej niespiesznie filozofują sobie ci dwaj menarchowie:

„— Tak, trzeba żyć, żeby zmieniać światy. Ale trzeba zawsze chcieć dać przynajmniej początek zmianie światów — odrzekł Bolesław“.

Co za rozwekła powieść historyczna! pomyśli sobie czytelnik — pewno ze 3 tomy o samym Chrobrym. Nie. Na trzystu stronkach całe dzieje Polski — ha! rzucone na szerokie tło dziejów Europy i jej cywilizacji. Oczywiście nie może obyć się bez operowania skrótami. Np. jak szeroko ujęta, choć w niewielu słowach, kultura baroku — (cytuujemy w całości):

„Obrazy Van Dycka, Rembrandta i Velasqueza rozchodzą się po dworach europejskich, umiędzynarodawiając oblicze artystycznego wieku. Na tronie francuskim siedziała już dynastia Burbonów. Opery włoskie coraz dźwięczniej rozbrzmiewały na scenach dworskich i po prywatnych teatrach zamkowych; po teatrze Szekspira przychodził (zaraz, bezpośrednio, na to samo miejsce! p. m.) teatr Moljera. — J u ż krążyła po Polsce Biblija Wujka, z której czytano oba Testamenty po polsku, w przedcudnym k r a j o w y m j ę z y k u. Sarbiewski pisze swe wiersze u c z u c i o w e. Kartezjusz — swe *myśli umysłowe*. W Moskwie siedzą Romanowowie. Przepadła Polska w moskiewskich planach. Na morzach indyjskich zaczynała panować Kompanja Wschodnia (sic!) kolonialna.

Corneille — Racine we Francji, mówią w poezji to, co w polityce robi Richelieu. Oczy nurillowskich obrazów zaczynają mieć błękitnookie, jasnowłose kobiety wieku (stylizacja! p. m.). Bakon z Werulamu odkrywa t a j e m n e z n a k i s t o t y ż y c i a l u d z k i e g o : w o l n o ś ć m y ś l i. A nad wszystkim moźny duch przepychu — baro-

ku, przeladowania fantastycznego życiem i jego szumem, gwarem, potopem" (str. 142).

Każdy z nas zszedł o humorystycznym piśmie *Simplicissimus*, ciekaw jest jego początek: p. Wołoszynowski zgrabnie przeprowadzając „koncentrację”, informuje: „gdy w Niemczech pokazał się pierwszy numer *Simplicissimusa* — abdykował Jan Kazimierz” (str. 156), pewno ze strachu, żeby nie zostać tak złośliwie skarykaturowanym jak później Wilhelm II. „Wybuch powstania konfederackiego przeciw Rosji... I wtedy to rozpoczął, w tymże roku, swe podróże po Europie Anglik James Cook — od którego są wagony Cooka” (str. 192).

Nic więc dziwnego, że wojnie 1831 r. autor może poświęcić tylko kilkanaście wierszy. Wprawdzie przedtem o nocy listopadowej jest dwie strony (227—228): „jeziorko koło Pomarańczarni”, wartownicy „w baszlykach” (dalej im W. Ks. Konstanty, jeśli nawet ten kaukaski strój głowy był znany wówczas wojsku rosyjskiemu; ale to z tem, jak z „barami” w Warszawie w 1863 r., w książce tegoż pisarza), „Wielka księżna Joanna” (z tytułami u niego, jak wogóle dziś w Polsce, słabo: do królów wciąż się zwracają w wolaczu per „Wasza Królewska Mość”, zamiast, jak to po polsku obowiązuje, „Najjaśniejszy Panie”), Chłopi dyktatorem zostaje przez „obiór, elekcję, niby królewską, na podwarszawskim polu”. Co do kampanji 31 roku, rzuca na nią p. Wołoszynowski nowe światło, przyczynił się do patrząc się w tych właśnie warunkach, które, według powszechnego mniemania, o mało nie stały się przyczyną zniszczenia armji rosyjskiej w marcu i kwietniu, nie dotykając właśnie wojska polskiego: „—było błoto — wiosenne, lepkie, armaty grzęzły, konie zrywały nogi, brakowało amunicji i prowiantu, aprowizacja armji nie dowoziła do frontu pożywienia i odzieży”... Wogóle pomieszało mu się nieco z 1863 r.: „po lasach chowały się wojska...”; a raczej o tych wszystkich sprawach ma bardzo ogólnikowe wyobrażenie, tak jakby starczyło może na podręcznik dla inżynierów filmowych w Hollywood, gdyby im chodziło o sfilmowanie *faucheurs polonais*, którzy w taki sposób wzięli, zdaniem p. Wołoszynowskiego, swój początek za Kościuszki: „W noc ciche wiosny gromadzą się powstańcy kościuszkowscy w małopolskich lasach” i t. d. nastrojowe opisy, „blyszcząca ostra kosa” etc.

Z Polską kontuszową (już w XVI w.) nie lepiej daje sobie radę potomek szlacheckiego rodu, wywodzącego się od oficera kawalerji, Iwana Małcowa, z Wołoszy przybyłego wraz ze Stefanem Batorem (str. 121). Borem Batory przybył napewno z Wołoszy — kilka razy to powtórzono, ile że temu władcy, a raczej jego historjofobicznym dialogom z Zamojskim poświęcono nie mało stron. Wbrew ustalonym dziś wyobrażeniom o tym wielkim, ale zupełnie nie zasymilowanym narodowo z Polską władcy, Batory wciąż mówi „my” o narodzie polskim: „u nas mówi się strachy na Lachy” (str. 122). A rozprawiają ci mężowie XVI w. zupełnie jak bohaterowie Nalkowskiej lub Kadena, a zwłaszcza jak filozofujący krytycy tych powieściopisarzy: „Człowiek jest szczęśliwy zawsze wolnością i prawem wolności, ale są tu rozgraniczenia subtelne pomiędzy człowiekiem jednym a człowiekiem wogóle...”, „Wasza Królewska Mość, intuicją wiedzioną” (w rodzaju żeńskim wbrew tradycji języka polskiego!) pragnie „rozgraniczyć sfery wpływów. Posuwamy zachód na wschód, cywilizacyjnie, gdy Moskwa posuwa na zachód swój barbarzyński wschód”. Mimo to dla Batoro (jak i dla autora) „Moskwa ma w sobie wiele czarów miłych”; „gdy kogo polubisz, bijesz go”. Dziwnie to uzasadnienie polityki batorjańskiej! Nie rażą wobec niej rozmyślenia przy rozpatrywaniu mapy w stylu poetycko-geograficznych artykułów M. Limanowskiego („to idzie w wieki...” str. 79) w *Słowie Wileńskim* (str. 124). Na mapę, a potem na trybunał (str. 126) „kapaly świece woskowe (z pszczół, z ich wosku, z ludzkich ulów)”, poczem zaraz mamy informację o kozaczyźnie, kalendarzu gregoriańskim, pierwszym herbarzu polskim, kartoflach w Irlandji i śmierci Jana Groźnego — wszystko w jednym ustępie piętnastowierszowym.

Z tej książki chciałoby się cytować bez końca. Zatrzymajmy się. Jeszcze tylko parę z niej informacji. „Bóg słowiański Świato-wid” prowadzi konnicę polską „do szarzy” na pogańskich Pomorzan, a nie odwrotnie, jak mogliśmy wierzyć; poczem Polska podbiwszy ziemię zaodrzańską, graniczy z państwem duńskim. Dzielnice w testamentie Krzywoustego: „Śląsk był i Wielkopolska, Mazowsze, Sandomierskie i inne pomniejszych ziemie — a nad niemi najwyższy tron krakowski” (str. 45). Wielki Mistrz krzyżacki polity pod Płowcami (str. 60). Husarja pod Grunwaldem, potem pod Warną; ignorancja ta byłaby mniej ważna u historyka uczonego, przykra u tego, kto chce przeszłość Polski ubrać w harwy.

Z tym harwnym obrazem obyczajowości to jak z harwnym baletem polskim w rosyjskiej operze *Życie za cesarza*, cytowanej pod tym fałszywie przelożonym tytułem na str. 139. Tam też informacje o walce Moskwy z

Polakami, rzekomo metodą 1812 r., która jest odwieczną mongolską taktyką. Co tam zresztą strategja! Okazuje się, że „Dymitr, młodzieniec niewiadomego pochodzenia, legendarnie jakoby ocalałny od śmierci z adanej mu przez Borysa Godunowa” (cudowna logika zdania!) został wprowadzony na tron w skutku wyprawy Żółkiewskiego na Moskwę i bitwy pod Klusynem (str. 138—140). Cóż wobec tego znaczy i „Michał Aniol (Angelo)”, gdzie „Angelo” jest najwidoczniej potraktowane jako nazwisko Buonarrotiego w oryginalnym brzmieniu (str. 92); „szlachta, czyli konnica polska — za króla Olbrachta” (str. 94) i inkwizycja, powstała w XVI w., gdy „w Niemczech przyszło wyznanie augsburskie, pozbawione malarstwa, pełne myśli skupionej w świat żyjący. We Francji, tęskniące wciąż do anielskiego, wystąpił Kalwin, przypominając Galijczykom ich anielskie tęsknoty” (str. 105). I to że Kopernik obserwował niebo przez szkła (str. 106). I to że „Wilja, rzeczka srebrzysta” (str. 109) wije się w radziwillowskich ogrodach (splątano z Wilenką, o której autor czytał w wierszu Illakowiczówny), gdy Barbara... opisana w szczegółach toaletowych dokładniej niż na obrazie Matejki — słucha z Zygmuntem słowików. I „stuartowski strój” Zygmunta III (str. 132) i „Zamojska akademja nauk” i „zapognienia wojenne” (próbka tego dziennikarskiego stylu, którym jest napisana książka, o ile nie wpada w poetyzowanie) i „stara pewny” jako ten co porwał żonę Chmielnickiemu (ten jest ubrany w chłopską, wyszywaną czerwona koszulę ukraińską z jedwabiu, nieczem członek chóru ukraińskiego w nocnej *boite* w Paryżu, (str. 147) i wreszcie Mazepa „hetman polskiej Ukrainy” (str. 177), co jest pogardą nawet dla informacyj z *Poltawy* Puszkina, którą chyba zna p. Wołoszynowski.

Członkowie „Akademji Niezależnych” zgłosili jedenaście propozycji do tegorocznej nagrody za najwybitniejszą książkę polską 1935 r. — materiał obfity, w oparciu o bardzo różne kryteria wybrany; czasem tak daleki od „literatury” w ścisłym słowa rozumieniu, że trudno zrozumieć braku podręcznika *Bridge racjonalny*, którego doniosłość i urok są chyba niewątpliwie dla szerokiej sfer inteligencji polskiej. Ale jeszcze bardziej zdumiewa obecność wśród wysuniętych książek dzieła, które niewiadomo jak i dla kogo napisane i poco. Z jakiegokolwiek jednak punktu widzenia oglądane jest ono istnem *curiosum*.

Dzieje Polski od „przygód Popiela” aż do śmierci Marszałka, opowiedziane przez literata, nie mogą jednak być dziełem wyłącznie literackim, we wszystkich elementach materiału i kompozycji wpływającym z zadań artystycznych: wszelkie tego rodzaju próby Słowackiego, Żeromskiego (w odniesieniu do Pomorza) były cyklami fragmentów, przedstawiających w formie poematów czy nowel historycznych nieliczne, wybrane z wielkiej rozciągłości dziejów momenty; kompozycja całości miała być zapewniona jakąś koncepcją poetycką, jakąś fantastyczną postacią działającą na całej przestrzeni dzieła (Król-Duch, Smętek). Nic podobnego nie znajdujemy w książce J. Wołoszynowskiego. Dzieje Polski są przedstawione co do zakresu i sumy wspomnianych zdarzeń, jak w przeciętnym podręczniku historii dla szkoły średniej; kompozycja całości obywa się bez jakiegokolwiek fikcji poetyckiej, a jej jedność ma być zapewniona środkami czysto formalnymi (w znaczeniu „nieistotny”); zacytowaniem każdego rozdziału od ostatnich słów poprzedniego.

Opowiadając dzieje, może literat mieć też inne zadania: czy to „popularyzacji”, uroczego, zajmującego przedstawienia materji tak suchej często i nudnej pod piórem zawodowca, czy też, jeśli jest myślicielem, to uwydatnienia swej koncepcji historjoficznej; jeśli jest publicystą — poparcia swych tez naukę wypływającą z zdarzeń. I w jednym i w drugim wypadku obowiązuje literata to, co i historyka: ścisłość w traktowaniu strony faktycznej, gruntownie poznanej i zrozumianej; wybór faktów „historycznych”, t. j. mających znaczenie w rozwoju dziejów, i w charakterystyce postaci „historycznych”; oczywiście w tych bardzo szerokich ramach dokonywany bywa jeszcze ścisłejszy dobór i oświetlenie faktów, zależnie od zadania autora czy też, które chce przeprowadzić. Nie wolno mu przekręcać faktów, gdyż będzie złym nauczycielem w wypadku popularyzacji, a nie przekona inteligentnego czytelnika, gdy te przekręcane fakty mają być argumentami; nie wolno mu „wysysać z palca” i plątać wstawki powieściowe między udokumentowane fakty i dobrze uzasadnione niemi hipotezy, gdy za braknie niezbędnych ogniw, a w każdym razie winien oddzielać fikcję od prawdy historycznej.

Pan Wołoszynowski nie jest, jak to widzieliśmy myślicielem, czyli mówiąc jego stylem, twórcą „umysłowych myśli”, nie jest też publicystą. Podejmuje się widać zadań popularyzatora jak to wynika m. in. z objaśniających nawiasów, np. „Laskonogi (ho miał nogi cienkie niby laski i długie)... Bro-

daty (nazwany od brody długiej...)” — widzieliśmy jak wywiązał się z tego zadania.

Trojakiem używa on sposobów w swoim wykładzie: największą część faktów wyklada w skrótach rzec można syntetyczno-synchronicznych; niektóre jakby w formie powieściowych, „nastrojowych” obrazków; niekiedy posługuje się fantastycznymi dialogami osób historycznych, filozofujących na tematy dziejów Polski i swojej w nich roli.

W pierwszym sposobie najmniej autor ma okazji do ujawnienia swych skłonności artystycznych, najwięcej zato do okazania zdumiewającej ignorancji historycznej. „Scenki” powieściowe przenoszą nas najczęściej w dziedzinę rzeczywistości pozahistorycznej. To że Kazimierz Jagiellończyk „mówiąc poprawił się w krzesle” (str. 85) lub „cercele” u Zygmunta Starego, przyczem Zygmunta August zdradza ochotę pomówienia z Ojcem, ale zamiaru nie wykonywa, nie przynoszą nam nic do rzeczywistości dziejowej, ani do charakterystyki postaci działających, są w dodatku fałszywe jako oddanie obyczajowości i — co tu mówić! — do cna wyprane zarówno z talentu pisarskiego, jak i przedewszystkiem z intuicji historycznej, którą można zdobyć — przy odpowiedniej wyobraźni — drogą wycia się w historję, wykształceniem humanistycznym, tem co tak potężnie rozbudzał XIX w., dając nam władzę zjrzeńia w przeszłość. Jeśli coś pokazuje nam p. Wołoszynowski przypominające plastyczne widzenie przeszłości, to są zawsze i wyłącznie kopje popularnych obrazów lub ukształtowań poetyckich; widzieliśmy już: Matejko (nieraz), ballada Illakowiczówny, Kraszewski, Sienkiewicz. Dialogi — widzieliśmy ich rozwlekłość i pustkę, niedołężnie pokrywaną frazesem dziennikarskim. Szata językowa...

P. J. Wołoszynowski posiada renomę wielkiego kunsztu pisarskiego. Już czytaliśmy niektóre jego zdania. Żebym mógł zacytować całość, byłaby jasna zupełna niemoc tego pisarza wobec jakiegokolwiek zadań stylistycznych. O utrzymaniu charakteru języka — nie o archaizowaniu już mówię — lecz na poziomie odpowiednim do materji — niema mowy („Kazimierz Sprawiedliwy w kości grywał pod dzentelmeńsku”, „Matka Jagiellonów odpowiedziała z zażenowaniem”). Próby archaizacji są żalodne, a szczęście rzadkie. Idą utartą dro-

gą używania rosyjskich słów zamiast polskich — że niby prasłowiaństwo. Widzieliśmy już „wiecza”, „wienniki”; dorzucimy „monachinia” — o Niemce, żonie Mieszka I, „tryzna”, zamiast „stypa”, „piki” w rękach jazdy polskiej; ale też „przybój morza” i w 1920 r. „następowała Rosja” — ta archaizacja wygląda na zwykłe rusycyzmy, obok których godnie figuruje galicjanizm „napędzono wojewodę Sieciecha” (str. 39) i dziewczyny „rusińskie” w Kijowie za Chrobrego.

Jeśli chodzi o chwyt artystyczne, którym autor chce nadać swemu, powiedzmy otwarcie, stekowi bredni pozory dzieła sztuki — to na pierwsze miejsce wyhija się podchwytywanie refrenowe słowa (na czem i cała kompozycja książki oparta), właściwe liryce i zamazujące do reszty wszelką ostrość linii narracyjnej: „rozkołysany gęsty step jasnozielonego tataraku, wysokiego wzrostu dużych koni, zrobionych z tataraku...” (str. 43). Doprowadza to do dalszych nonsensów: „Rzym był późno-średniowieczny — po mostach jego chodziły sztylety — po Florencji chodził wtedy Dante, zatrzymywał się na mostach westchnień” (str. 53) lub „Mundury legjonistów, mundury Polaków pokazały się na ulicach Warszawy. Idą po mieście (te mundury), widzą ładne dziewczęta...” (str. 216).

Ten chwyt liryczny rzuca trochę światła na genezę twórczości p. Wołoszynowskiego i na jej wysoką renomę. Było tak.

Epoka *Skamandra*, to był okres wielkiego rozkwitu liryki i skupienia powszechnej uwagi na twórczości kilku świetnych poetów, ale proza nie rozwijała się w tej grupie z równą bujnością, czemu zresztą nie sprzyjały jej tendencje. Liryka, wiersz jest zawsze przeniesieniem ciężkości w ukształtowanie formalne. Podchodząc do prozy w ten sam sposób, możemy stworzyć rzeczy krótkie, nierównoważne obszernej narracji epickiej. Gdy w tej konjunkturze zjawiał się ktoś, kto pisał wielkie tomy, nie zwracając uwagi fabułą, jej nowością, bez żadnej inwencji w tym zakresie, bez pretensji, żeby uchodzić za myśliciela — pomyślano: to właśnie — czysta sztuka słowa, majsterstwo prozy! Przeczytać do końca nie można było, więc chwalamo na wiarę. Wreszcie wysunięto do nagrody — na nieszczęście autora.

K. W. ZAWODZIŃSKI

## POLSKI GDAŃSK O SOBIE

Nasza opinja publiczna z zadowoleniem powitała odprężenie, dające się zauważyć w stosunku Gdańska do Polski, i z tem większem zdziwieniem dowiaduje się z ukazujących się co pewien czas w prasie pogłosek o usuwaniu orłów polskich z pomiatkowych budynków Wolnego Miasta. Właśnie obecnie, kiedy ma nastać nowa era współpracy Gdańska z Polską, miałyby być niszczone ślady dawnego wielowiekowego współzycia? Mimo całej nienawiści do Polski nie znieśli tych pamiątek Prusacy w czasie swego 125-letniego panowania nad Gdańskiem (1793—1918). Czy i teraz nie znajdują w Gdańsku dość wpływowe i kulturalne czynniki, by zatrzymać barbarzyńskie zniszczenie?

Orły na Starym Ratuszu, na Wysokiej Bramie, na drzwiach Dworu Artusa, posąg Zygmunta Augusta na szczycie wieży ratuszowej, medaljony królów polskich, sztandar stanisławowski w Dworze Artusa — te wszystkie pamiątki minionych wieków są dowodem łączności, jaką dawni Gdańszczanie umieli i chcieli zachować ze swoim naturalnym zapleczem, dającem im bogactwo i znaczenie na Bałtyku. Zniszczenie tego czy innego śladu wielowiekowego współzycia nie zmieni w ocenie przeszłości, która wymaga jednego: obiektywnych, sumiennych badań.

Z taką właśnie sumiennością, z całym obiektywizmem i krytycyzmem, a również z głębokim odczuciem przeszłości Gdańska pracuje żywa polska placówka w Gdańsku, założone w r. 1922 Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki. Leżą przed nami jego *Roczniki* (w r. b. ukazał się b. piękny tom VII—VIII)<sup>1</sup>, a w nich kilkadziesiąt prac z różnych dziedzin, ale zawsze dotyczących Gdańska i Gdańszczan. Od piastowskiego podboju Pomorza i pamiętnego dokumentu Mściwoja II, łączącego w r. 1215 Pomorze wschodnie z Wielkopolską, — do wielkiego udziału Gdańska w naszym dzisiejszym handlu zagranicznym droga prowadzi przez różne koleje. Krzyżacy upamiętnili się rzeczą w r. 1308; przemoc krzyżacką zrzucili Gdańszczanie w r. 1454 i odtąd współżyli z Polską przeszło trzy wieki aż do drugiego rozbioru.

Rozkwit Gdańska — to druga połowa

<sup>1</sup> *Rocznik Gdański*. Organ Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki Tom VII i VIII, lata 1933 i 1934. Gdańsk 1935. Str. 4nl. + 460 + 4nl.

XVI w., kiedy mocna, planowa, świadoma morskich potrzeb Rzeczypospolitej polityka Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i kanclerza Zamojskiego liczyła się również z interesem lojalnych Gdańszczan. A upadek dawnego Gdańska — to w 200 lat później — odcięcie od zaplecza, następstwo pierwszego rozbioru Polski, któremu złorzeczyło wszystko, co szczerze gdańskie, co milujące splendor i dostatek miasta.

Historycy średniowiecza (prezes Towarzystwa Dragan, Widajewicz, Z. Wojciechowski, Górski, Koczy, Maluszyński), wieków XVI i XVII (Bodniak, Piwarski, K. Lepsi, Zawirski, oraz czeski uczoney Odložilik), wieku XVIII (Dziamianka) i XIX (Ks. Czaplowski, Staszewski) łączą się na łamach *Roczników Gdańskich* w bezstronnym poszukiwaniu i w interesującym oświetleniu prawdy dziejowej, a podsumowanie dotychczasowych badań dają dwa syntetyczne, pięknie ujęte artykuły R. Lutmana. Inna grupa współpracowników z A. Siebenicichem, K. Jeżową i W. Konderskim na czele zajmuje się współczesnym Gdańskiem i Pomorzem w polityce i w ekonomice. Inna wreszcie, której przewodzi Wł. Pniewski, pracownicy zostawia całą polską literaturę, dotyczącą miasta i Pomorza. Wszystko to składa się na całość jednolitą, bardzo interesującą, godną poparcia, i pozwala jak najlepiej wrożyć o następnych *Rocznikach Gdańskich*.

Towarzystwo na tem wydawnictwie nie poprzestało. Wydało ozdobnie antologję *Morze Polskie i Pomorze w pieśni*, w układzie Wł. Pniewskiego, z uwzględnieniem pisarzy kaszubskich narówni z poetami, piszącymi językiem literackim.

Wydało następnie Towarzystwo grubą księgę pamiątkową ku czci Mrongowjusza. Niezwykła była to postać, ten Mazur pruski, ewangelik, pastor, który przeżył wiele dziesiątków lat (ur. 1764, zm. 1855) w Królewcu i w Gdańsku, nauczając języka polskiego, wydając polskie książki pobożne, podręczniki i słowniki. Główne jego dzieło — to olbrzymi słownik polsko-niemiecki (1835). Całe życie opiekował się Mazurami i Kaszubami, walczył o ich prawa do języka polskiego i w ten sposób skutecznie przyczynił się do powstrzymania fali germanizacyjnej. Gorący patriota, modlił się w niemieckim ewangelickim kościele w Gdańsku za powstańców listopadowych; na szarpie dla nich przeznaczona część dochodu ze sprze-

daży swych książek. I jeszcze drugiego gożącego Polaka z Mazurów ewangelickich poznajemy bliżej z księgi Mrongowjuszowskiej: to pastor Gustaw Gizewjusz (ur. 1810, zm. 1848).

Do historii Prus Wschodnich i Pomorza, do historii ewangelicyzmu polskiego—księga Mrongowjuszowska stanowi piękny i pełen wartości wkład.

Następną publikacją Towarzystwa była cenna praca dr. Jeżowej o własności ziemskiej na Pomorzu w dobie rozbiorów i przed wybuchem wielkiej wojny. Praca ta, wykazująca wysoki polski stan posiadania w XVIII w. i akcję germanizacyjną XIX stulecia, słuszenie wyszła w języku niemieckim. Kontynuowanie wydawnictw tego typu w językach obcych byłoby dziełem bardzo pożytecznym.

Na warsztacie wydawniczym ma Towarzystwo dwa poważne zamierzenia, których realizacja już jest w toku: zbiór materiałów do morskich dziejów Polski p. t. *Monumenta Poloniae Maritima* oraz korespondencja Stanisława Przybyszewskiego. Podjęcie się przez Towarzystwo tej ostatniej pracy nie jest rzeczą przypadkową: Przybyszewski spędził cztery spokojne i szczęśliwe lata (1920 — 1924) wśród Polonii gdańskiej i niejedną dal jej podjętą społeczną lub intelektualną. Odwiedzimy mu się za to ona, wydając możliwie kompletny zbiór jego obfitej polskiej i zagranicznej korespondencji, obejmującej około półtora tysiąca listów. Redakcję powierzyło Towarzystwo dr. Stanisławowi Helsztyńskiemu, a strona materialna nie powinna nastrożać żadnych wątpliwości. Czy w obecnym okresie „mody na biografje” wydanie listów

Przybyszewskiego nie może liczyć na poparcie? Na początkowe koszty udzielił poparcia Fundusz Kultury Narodowej.

W swej działalności Towarzystwo nie zapomniało o sztuce i artystach. W jego rocznikach omawiano stosunek Chodowieckiego do polskości (ks. Mańkowski), projekt Muzeum Polskiego w Gdańsku (Hański), pamiętki po holdach gdańskich i królewieckich (Sawicka), teatr polski w Gdańsku (Simon). Staraniem Towarzystwa odbyła się wystawa, dobrze przedstawiająca Gdańszczanom sztukę polską. A gdy piękne sklepienie sale Muzeum Miejskiego gościły wystawę „Goethe i Wschód”, Towarzystwo zorganizowało dział polski, który dzięki zwłaszcza energii sekretarza Zarządu, Adama Czartkowskiego wypadł świetnie: dał bogaty materiał rękopiśmienny, drukowany i ikonograficzny, zebrany z całej Polski, i obudził żywe zainteresowanie wśród Niemców i Gdańszczan.

Szczupłość funduszy hamuje działalność zamierzoną. Ale mimo szczupłych środków Towarzystwo, opierając się głównie na profesorach Gimnazjum Polskiego w Gdańsku i ciesząc się zupełnym poparciem Komisarzy Generalnych Rzeczypospolitej, najpierw dra H. Strashburgera, obecnie dra K. Papęgo, wykazuje ożywioną działalność: poza pracą wydawniczą prowadzi stację naukową z biblioteką i czytelną czasopism (w gmachu b. Dyrekcji Kolejowej), organizując zebrania dyskusyjne i odczyty, współdziała we wszelkich poczynaniach naukowych, z Gdańskiem związanych, pracą swą usilną dobrze się zasługując i Gdańskowi i Polsce.

WACŁAW OLSZEWICZ

## WYSTAWA FLAMANDZKA W PARYŻU

Van Eyck — Breughel, oto nazwiska, które z plakatów, zdobnych w portret młodego człowieka z łańcuchem Złotego Runa na szyi i złotą strzałą w ręku, wzywają nas od kilku tygodni do zwiedzenia wystawy mistrzów flamandzkich, urządzanej w Pomarańczarni ogrodów Tuileryjskich. Te dwa dostojne nazwiska obejmują niby kosztowną kłamrą epokę, której arcydziela wolno nam podziwiać tutaj dzięki inicjatywie i współpracy dwóch znakomitych muzeologów, p. Jamot, konserwatora malarstwa w Luwrze, i p. Lambotte, dyrektora sztuk pięknych w Belgii. W ten sposób znalazła ciąg dalszy serja wielkich wystaw z współudziałem zbiorów międzynarodowych, rozpoczęta w lecie b. r. wspaniałym akordem sztuki włoskiej.

Wystawa flamandzka obraca się w skromniejszych ramach, zarówno co do rozciągłości epoki, jak i ilości wystawionych dzieł. Obejmuje ona niecałe dwa wieki sztuki flamandzkiej, od zarania w. XV aż po drugą połowę XVI-tego, od braci van Eycków, aż do Breughela, ilustrując ten okres nie wiele więcej, niż stu dziełami, malarstwa, rzeźby i tkaninami, za to arcydzielami pierwszorzędnej miary. Mówiąc o „braciach Van Eyckach”, posługujemy się nomenklaturą dawniejszej historii sztuki, najnowsza bowiem neguje wprost istnienie starszego, Huberta, i skłonna jest przypisywać całe *oeuvre* artystyczne, dzielone dotąd między obu, wyłącznie Janowi. Istotne wiadomości o Hubercie ograniczają się do wątpliwej autentyczności napisu na ołtarzu gandawskim oraz pewnych różnic stylistycznych zachodzących między pojedynczymi częściami tego ołtarza. Lecz nietylko samo życie genialnego mistrza otoczone jest mro-

kiem zagadki, jeszcze większą stanowi eam pojawienie się we Flandrii, w zaraniu w. XV-tego, twórcy tak wysokiej miary, którego poprzedników, przynajmniej w dziedzinie malarstwa sztalugowego, nie znamy zupełnie, a który staje przed nami od razu w całej doskonałości techniki, kompozycji i duchowego nastawienia, pozostającej na bardzo długo niedającym się przescięgnąć ideałem. Cały szereg historyków sztuki starał się, zwłaszcza w ostatnich latach, o wyjaśnienie tej zagadki, odtworzenie artystycznej filiacji Eycka czy też Eycków, że wspomnę tu choćby o znakomitem dziele przedwcześnie zgasłego uczonego szkoły wiedeńskiej, prof. M. Dvorzaka, p. t. *Zagadka braci Eycków*. Jedno zdaje się być pewnym, że wykształcili się oni na malarstwie miniaturowym, które w owej epoce doszło było we Flandrii do bardzo wysokiej doskonałości. Dlatego należy żalować, że wystawa paryska nie dała nam sposobności zestawienia i porównania twórczości Eycków z arcydzielami iluminowanych kodeksów, których nie brak, i to w pierwszorzędnym okazach, w zbiorach paryskich.

Wystawa paryska nie jest bynajmniej, jakby się mogło zdawać, skrótem wspaniałej wystawy, którą można było podziwiać ubiegłego lata w Brukseli. Jest ona czemś zupełnie odmiennym od tamtej. Ograniczając się do niespełna dwóch wieków sztuki flamandzkiej, daje ona, przy tem czasem i ilościowym ograniczeniu, obraz o wiele kompletniejszy i chronologicznie opracowany jednej z najświetniejszych epok artystycznych naszej cywilizacji. Poza tem wziął w tej wystawie udział szereg zbiorów, które nie były weale, lub były, ale innymi dziełami



ROGER van der WEYDEN

Pietà

reprezentowane w Brukseli. To też wystawa paryskiej Oranżerii posiada zupełnie odmienny, samodzielny i naukowo nader doniosły charakter. Następując czasowo nie długo po świetnym pokazie sztuki włoskiej, pozwala dalek na dokonanie całego szeregu ciekawych i cennych porównań i zestawień. Powodzenie zaś, które zdobyła sobie w Paryżu, zachęciło organizatorów do nadania tej wystawie dalszego ciągu i uzupełnienia w formie pokazu dzieł Van Dycka, Jordansa i Rubensa, który odhyc się ma na wiosnę roku przyszłego.

Dzięki uprzejmości Kapituły katedry św. Bawona w Gandawie Jan van Eyck reprezentowany jest wspaniałe fenomenalnymi portretami ofiarodawców, Joosta Vydta i jego żony, stanowiącymi jak wiadomo skrzydła słynnego ołtarza Mistycznego Baranka, które to skrzydła wróciły po wielkiej wojnie z Berlina do Gandawy. Łatwiej dostępne niż w swem właściwym miejscu umieszczenia pozwalają one ocenić w całej pełni geniusz mistrza, który potrafił wznieść się, bez przykładów i bez wzorów, na takie wyżyny monumentalnego realizmu. Obrazu twórczości van Eycka dopielniają Madona kanclerza Rollin z Luwru, i mało znana uroczą Madona z cystersem ze zbiorów Roberta bar. Rothschilda. Tła tych obrazów, jakoteż niedokończony św. Barbary z Antwerpji okazują nam zarazem nową stronę mistrzowskiej inwencji ich twórcy, jako ojca nowoczesnego pejzażu.

Roger van der Weyden zachwyca przedewszystkiem Pietą brukselskiego muzeum, tak wstrząsającą i patetyczną w mistycznej poświacie zachodzącego słońca. Aż trzy portrety, między nimi ów młody człowiek ze złotą strzałą, obrany za godło wystawy, okazują w całej pełni wnikliwość tego wielkiego znanego duszy ludzkiej w najgłębszej jej tajniki. Przez zestawienie Zwiastowania z Luwru z dwoma skrzydłami z Turynu, pozwoliła ponadto wystawa paryska na czasową rekonstrukcję całości tego dzieła, co uważam zawsze za jedną z najdonioślejszych korzyści tego rodzaju wystaw.

Mamy tu dalej rzadką ikonograficznie Najsw. Pannę z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów i świętych niewiast: Gerarda Davida z muzeum w Rouen, kilka Memlingów, Quentin Metsysów, Dirk Boutsów i innych znakomitych następców van Eycka i poprzez chorobliwie fantastycznego i dla dzisiejszego widza raczej technicznie niż tematowo zajmującego Boscha dochodzimy do wielkiego Breughela. Jest on tu reprezentowany w sposób istotnie świetny, pełnym poezji Upadkiem Ikara z Brukseli, tragiczną przy całej swej Boschowskiej fantastyczności Szaloną Małgosią (Dule Griet) z muzeum Mayer van der Berg z Antwerpji, oraz obrazem z Wiednia, ze zbiorów ks. regenta jugosłowiańskiego i in.

Znaczenie wystawy dla poznania w pełni sztuki flamandzkiej w tym okresie podnosi w wysokim stopniu włączenie w wystawę kilkudziesięciu rysunków, jak wiadomo rzadkich dla tej epoki i uzupełniających świetnie *oeuvre* malarskie wystawionych tu mistrzów. Wśród tych rysunków spotykamy nazwiska największych mistrzów epoki a szczególnie bogato reprezentowany jest Piotr Breughel starszy. Wnikamy tu jeszcze głębiej, niż w dziełach malarstwa, w intymne szczegóły twórczości tych mistrzów, śledzimy powstawanie kompozycji, odczuwamy szacunek dla prawdy, rzeczywistości i natury, który ich ożywił przy całym mistycyzmie ustosunkowania się do tematów religijnych i skali odwiecznych przeżyć duchowych niezależnych od epoki i kostjumu.

Najznakomitsze zbiory publiczne i prywatne złożyły się wreszcie na obelanie wystawy przepysznymi tkaninami, pochodzącymi głównie ze słynnych w swoim czasie na świat cały warsztatów brukselskich.

Wśród wystawionych tu okazów trzy pochodzą z zbiorów państwowych polskich: dywan z monogramem króla Zygmunta Augusta oraz dwie kompozycje krajobrazów ze zwierzętami. Zbytecznym jest podkreślać znaczenie tkanin w calokształcie twórczości artystycznej krajów północnych, gdzie odgrywają one podobną rolę co malarstwo freskowe na południu. Dzięki swym rozmiarom i większej swobodzie tematowej pozwalają one artystyce wypowiedzieć się pełniej niż w malarstwie sztalugowym. Poza tem przez częstokroć lepsze zachowanie dają dokładniejsze pojęcie o stronie kolorystycznej. Co prawda ten ostatni wzgląd nie gra dużej roli na obecnej wystawie paryskiej, gdyż znaczna większość wystawionych obrazów sprawia wrażenie, jakgdyby wczoraj dopiero opuściły pracownię artysty. Trudno oddać w słowach przepych i soczystość barw, którymi upajają nas twory tych nieporównanych mistrzów techniki i koloryty.

Bliskość czasowa obu wielkich wystaw, włoskiej i flamandzkiej, jest oczywiście silną pokusą do dokonywania porównań, wyciągania wniosków. Ale przekroczyłyby to już ramy niniejszego sprawozdania. Niech mi wolno będzie wspomnieć o jednym momencie, który narzuca się od razu przy zestawieniu w myśli tych obu świetnych epok ludzkiej twórczości artystycznej. Jest nim dynamizm mistrzów włoskich z jednej a wybitny czynnik statystyczny mistrzów flamandzkich z drugiej strony. Wystarczy sobie uprzytomnić jak wielką drogę przebiegła w ciągu XV w. sztuka włoskiego Quattrocenta, wspinając się szczebel po szczeblu do szczytów zdobytych przez Rafaela, Michała Anioła i Leonarda. Tutaj, we Flandrii, wszystkie zadania, jakie stawiali sobie twórcy tej epoki, są już właściwie osiągnięte u van Eycka a reszta mistrzów wnosi do dorobku artystycznego tej epoki tylko szczegóły techniczne czy duchowe, rozwija to, co już było w zarodku u wielkiego przodka. Ale w tym powolnym rozwoju ileż czaru intymności, ileż umiłowania natury i codziennego życia, ileż podpatrzenia skromnego, szarego człowieka w całej skali jego przeżyć! A gdy powiew Renesansu zawieje i na północy, sztuka ta straci niestety wiele z tego oroku, który czyni nam ją tak drogą.

MARJAN HENZEL



JAN van EYCK

Madonna z cystersem



ROGER van der WEYDEN Meliaduse d'Este



# SZTUKA I ANTENA



## POLSKI PROGRAM RADJOWY PO DZIESIĘCIU LATACH

Mięło pierwsze dziesięciolecie polskiej radjofonii. Artystyczną jej ewolucję można by scharakteryzować zapomocą krzywej, której poszczególne odcinki nazywałyby się tak: — nieśmiałość pierwsze kroki — radość rozrostu — pierwsze ambicje eksperymentalne — imperjalizm zdobywców — ekspansja na prowincję — era prosperity. A potem: — centralizacja — haissa indywidualnej inicjatywy. Wreszcie (od roku 1934) — racjonalizacja programu — rozumna decentralizacja, nowe wzloty, odwaga i twórczy postępek.

A odbiorcą tej strawy, naszego słuchacza radjowego, widzę w owych dziesięciu latach tak: najpierw zdumiona radość, że wogóle coś tam gra i gada; później bezkrytyczna zachłanność, polykanie wszystkiego; następnie przesyty, apatia, stopniowe wrażliwości i pesymizm; wreszcie stopniowy powrót do głosińka, rosnący krytycyzm, potrzeba wyboru, coraz wyższe wymagania — i w końcu wierność trwała, wymagająca, współpracująca, pogłębiona. Takich mądrych, współtwórczych przyjaciół ma dziś Polskie Radio wiele tysięcy.

W szkicowych skokach przebiegnijmy najważniejsze pola programu radjowego, notując główne doświadczenia, punktując dylematy i aspiracje.

### I. MUZYKA.

Muzyka królowała zawsze — rzecz prosta — bardzo wyraźnie w programie. Nigdy nie zajmowała wiele mniej niż połowę całej ramy, potem rosła, a dziś absorbuje ponad 60 na 100 godzin nadawczych we wszystkich naszych rozgłośniach. Po licznych prądach, po zwycięstwach i odwrotach, po setnych doświadczeniach (których tu nie będziemy analizowali) doszliśmy dziś do punktu, któremu warto się przyjrzeć.

Dział muzyczny każdej radjofonii miał zawsze główną trudność w rozstrzygnięciu pytania: artyzm — czy dydaktyka; poziom — czy popularność. I wysiłki kierownictwa muzycznego zawsze musza oscylować między temi biegunami.

Panowała przez pewien czas fikcja jakiegoś „przeciętnego słuchacza”, póki nie przekonano się, że taki słuchacz nie istnieje. Naginanie programu do jego upodobań było najtańszym, szkodliwym kompromisem. Zwyciężyło przekonanie, że zbawienniejszym systemem będzie stworzenie kilku równoległych linii programowych, dostosowanych do różnych poziomów publiczności. Sporo czasu minęło, zanim przestano uważać płytę gramofonową za podrzędną konserwę muzyczną, zanim zaczęto ją szanować. Już dziś czuje się odbiorcę poważnie przemyślanymi programami płytowymi. To wydało zbawienne owoce. Ale do całkowitego uporządkowania „dyskoteki”, do świadomego systemu nadawania płyt jeszcze daleko.

Z latami coraz gęściej w muzykę wsączać się zaczęło — żywe słowo. Najpierw w postaci wstępów i komentarzy; potem słowo przeplatać jeło muzykę coraz żywszymi wstępami „konferansjerki”; w końcu zaczęło ją przenikać w coraz ciekawszych chemicznych związkach tak zwanych „audycji mieszanych”, całych słuchowisk artystycznych z silnym nieraz pierwiastkiem twórczym — stapianych w jedną całość elementów muzyki, poezji i słowa literackiego. Tu odkryto nowe światy efektów artystycznych, formę przedtem nieznaną ani na scenie ani w druku, daleką od tanich popisów melodeklamacji, formę samodzielną. Literaci jeszcze niedość tę dziedzinę spenetrowali, ponieważ (jak wiadomo) nie mamy w Polsce prawie wcale literatów muzycznych. Tkwi tu jednak przyszłość pewnego typu słuchowisk muzycznych.

Po wieloletnim twierdzeniu, że tylko Warszawa posiada arsenal środków wykonawczych dla wielkiej muzyki — zwyciężył pogląd, że Polska muzyczna nie kończy się na stolicy i że wielkie ośrodki regionalne stać na donośny głos: nietylko w sferze kameralnej, chóralnej i solistycznej, ale i w muzyce symfonicznej. I oto stanęliśmy ostatecznie w obliczu faktu podważenia monopolu radjowego Filharmonji Warszawskiej. Przemawiają kolejno filharmonje Lwowa, Krakowa, Katowic, Poznania, Łodzi i Wilna. Głosy te krzepną wyraźnie i potężnieją. Coraz to nowi kapelmistrze zjawiają się przy regionalnych pulpach, z coraz to nowych miast słuszny słynnych solistów. A stołeczny ruch symfoniczny zyskuje tym

czasem na samodzielności i odmładza się skutecznie, tak iż wierzyć wypada, że stan wojenny nie potrwa długo i Filharmonja Warszawska wróci niebawem na anteny polskie, by ująć pierwsze skrzypce w zespole ośmiu stolic Polski.

Działalność muzyczna Polskiego Radja sięga coraz głębiej do ukrytych skarbów naszej kultury. W cyklu arcydzieł koncertów odgrzebano z zupełnego zapomnienia szereg zażytków polskiej muzyki symfonicznej z XVIII i początku XIX wieku. Wielki konkurs na zbieranie nienotowanych pieśni ludowych, w całym kraju, dał plon 500 pieśni, oddanych do oceny fachowemu sądowi konkursowemu. Wyróżnione pieśni wzbogacą repertuar folklorystyczny radja i nietylko radja.

Z początkiem sezonu 1934—35 zainicjowano wielki cykl koncertów chopinowskich, obejmujących całość dorobku kompozytorskiego Fryderyka Chopina, w ujęciu chronologicznym, z komentarzami związanymi ściśle z biografją muzyka. Próby najbardziej celowego propagowania Chopina w społeczeństwie będą w przyszłości kontynuowane. Rozpoczęto równoległe cykl „Nasze pieśni”, zawierający znaczną ilość nieznanych pieśni polskich kompozytorów. Projektowany jest cykl koncertów pieśni moniuszkowskich, w większości mało znanych; te audycje pieśniarskie przewijają się będą na kanwie tekstu literackiego, wiążąc utwory według tematów (Wilno w pieśniach Moniuszki, Teksty Mickiewicza, Moniuszko a Goethe, Dobre pieśni do złych tekstów i t. p.).

Osobno wspomnieć należy o nowej, znakomitej i przyjętej zycielwie metodzie szerzenia kultury śpiewaczej w żywych audycjach p. t. „Cała Poleka śpiewa”, ilustrowanych gęsto przykładami dobrego śpiewu amatorskiego i sposobu uczenia małych zespołów.

Te zdobycze Wydziału Muzycznego wskazują, że w ostatnim roku dziesięciolecia Polskie Radio weszło na szeroką drogę zorganizowanej mądre propagandy muzycznej, według nowych, twórczo wynalezionych i radjofonicznie realizowanych metod.

Osobny rozdział powinno się poświęcić ewolucji poglądów radjowych na muzykę tańeczną, szczególnie na jazz rozrywkowy. Ten rodzaj muzyki uległ ostatnio poważnej redukcji, zresztą zgodnie z życzeniem większości „przejedzonych” odbiorców.

Pole, jeszcze leżące odłogiem — to wiedza akustyczna: badanie muzycznych praw studja i mikrofonu. Dziw, że nie znaleźli się u nas doznaczeni uczeni, którychby zapaliła żądza poznania tej nieznannej ziemi: akustyki, teoretycy harmonji, instrumentolodzy, architekci. Kto studjuje naukowo dźwięk radjowy? Kto oblicza, eksperymentuje, dyskutuje i pisze na ten temat?...

### II. LITERATURA

Sprawa literatury w radjo — to przede wszystkim sprawa słuchowisk. W pierwszych dniach powstania radjofonii przeniesiono do studja żywym scenę teatralną. Wkrótce zorientowano się, że mikrofon nie trawi tego pokarmu, a dramat sceniczny nie daje pełni artyzmu w głosińku radjowym. Zaczęto przykrawać, skracać, przerażać — i nazwano to „radjofonizowaniem”. Przypominało to żywym pierwsze lata filmu. Fala przeróbek z całej literatury polskiej i potrosze obcej zalała wszystkie anteny. Autorzy nie kwapili się do pisania utworów dramatycznych dla radja. Stan ten trwał wiele lat. Oryginalne słuchowiska były rzadkością.

W dziale literackim, więcej niż w innych dziedzinach programu radjowego, potężna szalupa zdana była na los zmiennych wiatrów, które groziły jej co pewien czas zatonięciem. Po pierwszych eksperymentach nastąpiła era błogostanu i poprawnej produkcji masowej. Były w tym okresie i piękne zdobycze, lecz nie było ducha odkrywców.

A jakież to ludy czekają Kolumbów?

Chór mówiony. Zagadnienie radjowe dotąd nie rozwiązane. Ciekawe odkrycia poczynił Wacław Radulski w Warszawie. Próbował (poza radjem) symfonicznej deklamacji chóralnej Józef Wittlin we Lwowie. Realizował podobną metodą z powodzeniem artystycznym *Słowo o pulku Igora* Tadeusz Byrski w Wilnie. Ale terenem do tego rodzaju poszukiwań nie będzie nigdy gorączkowe studjo radjowe z pośpiechem

bieżącej pracy. Na to potrzeba swobody laboratorjum: studja doświadczalnego.

Dalej: studja nad istotą dźwięku mówionego, muzycznego i wszelkich gatunków szmerów. Kuchnia dźwiękowa. Arsenal płyt, próby planów i perspektyw akustycznych. Jesteśmy wciąż jeszcze w grubym prymitywie. Z tego wyrastać będą coraz śmielsze eksperymenty słuchowiskowe; niema na nie dość czasu ani wolności w normalnym programie, który jest jak kuchnia harowa: na stojąco, byle prędzej, podesgrzać i podać, ho gość się śpieszy.

No i nie będzie zmiany na lepsze, póki pisarze stronić będą od pisania dla radja. Na to sposoby są i znaleźć się muszą. Kilka zebrań dyskusyjnych, starania o wtajemniczenie wybitnych pisarzy w sekrety alchemii studja literackiego — wydają już pierwsze owoce.

Jesteśmy świadkami rodzenia się poważnej krytyki radjowej. Coraz więcej czasopism drukuje nie zdawkowe komunikaty i dorywcze recenzje, ale głębiej przemyślane studja i rozprawy o estetyce słuchowiska, o psychologii reportaży mikrofonowego, o prawach scenarjusza, o działaniu estetycznym i społecznym muzyki na antenie, o retoryce radjowej, o radjofonicznej recytacji. Do grona pisarzy, oddających swe pióro tym i podobnym zagadnieniom, należą już dziś między innymi: Dąbrowska, Grzegorzczak, Irzykowski, Jachimiecki, Łopalewski, Morawska, Nalkowska, Niewiadomski, Noskowski, Ostrowski, Skiński, Terlecki, Ulatowski. W ten sposób tworzy się stopniowo fachowa literatura teoretyczna sztuki radjowej, nie istniejąca w Polsce niemal wcale; świt jej wstępują wyraźne znaki na niebie.

Ta krytyka i ta literatura fachowa wale nie dopomogą wszystkim pionierom radjofonii, dowodzącym coraz czynniej, że radjo nie jest tylko instrumentem przekazyjącym i „powielającym” sztukę, ale karczuje się i użyźnia na głębi dla samostnej gałęzi sztuki: sztuki akustycznej, sztuki czystego słuchu.

Działalność Wydziału Literackiego Polskiego Radja jest w obecnej chwili, na progu drugiego dziesięciolecia, w stadium reorganizacji.

Cały dział słuchowisk literackich, nazywany „Teatrem Wyobraźni”, podzielony został na cztery odrębne sceny, podobnie jak wielkie konsorcjum teatralne dzieli swoje gmachy na: scenę wielkiego repertuaru, teatr kameralny, farsę. Mamy więc już w Polskim Radju usystematyzowane kalendarzowo cztery premjery w miesiącu, co czwartek: 1) „Wielki Teatr Wyobraźni” (słuchowiska oryginalne polskich pisarzy); 2) „Powszechny Teatr Wyobraźni” (słuchowiska popularne, społeczno-pedagogiczne, rozrywkowe); 3) „Kameralny Teatr Wyobraźni” (utwory kameralne i eksperymentalne); 4) „Teatr Wyobraźni u obcych” (repertuar najcenniejszych zdobyczy słuchowiskowych radjofonii zagranicznej).

Premjery powyższych słuchowisk czwartkowych powtarza się z reguły w każdą niedzielę następnego miesiąca; tem samem została przełamana zasada niepowtarzalności słuchowisk, stosowana dotychczas prawie bez wyjątków.

Wśród autorów słuchowisk literackich pojawiły się w sezonie 1935—6 nazwiska: Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Zofji Nalkowskiej, Karola Irzykowskiego, Jerzego Szaniawskiego. Dla mikrofonu pisują nadal dramaturzy radjowi, którzy już przeszli zwycięsko chrzest lampy katodowej: Balicki, Brończyk, Kossowski, Meisner, Morawska, Jerzy Ostrowski, Rybicki, Janusz Stępowski, Szelburg-Zarembina i inni. Nazwiska te pomnożyć się muszą wielokrotnie, jeżeli zagadnienie repertuaru słuchowiskowego ma wyjść nazawsze z impasu przeróbek beletrystycznych i przykrawanych ad usum microphoni arcydzieł literatury dramatycznej.

Te natomiast arcydzieła dramatyczne, od Eurypidesa po Moliere, od Szekspira po Wyspiańskiego — znalazły swoje osobne zacisze w cieniu anteny. Są to niedzielne „Fragmenty słuchowiskowe”, w których, nie kalecząc dzieła, ukazuje się wyjęte klejnoty w postaci zamkniętych scen czy monologów, oprawione w komentarz literacki wybitnych piór krytycznych.

Pomijam drobniejsze pozycje literackiego programu radjowego, by zaznaczyć, że ważny dział szkiców literackich i przeglądów nowych książek prowadzony jest z troską o stały złoty środek między popular-

na i nieskazitelnie radjofoniczną formą, a wysokim poziomem treści feljetonów.

Recytacja literacka (prozy i poezji) to nowy rozdział prawdziwych kłopotów ludzi radja. I tu poszukuje się, po wieloletnim trzymaniu się tradycji estradowej, sposobów rdzennie fonicznych, splatających tekst poetycki z głosem subtelnego literackiego przewodnika. Pytania: jak, ile i kiedy podawać poezję — są przedmiotem nieustających doświadczeń. Od półgodzinnych deklamacji doszło się już do „Minut poezji”, w których podaje się jeden lub dwa wiersze mówione jak najprościej.

Innym rodzajem kontaktu słuchacza radjowego z literaturą są poniedziałkowe półgodzinne „Wieczory literackie”, w których różne elementy (recytacja, feljeton literacki, dialog, muzyka, dyskusja) składają się na słuchowe uplastycznienie jednego tematu (autora, epoki lub środowiska). I tu czujne poszukiwania buszują wzdłuż i wszerz po haszcach niezbadanych terenów mikrofonicznych, z wynikami — rzecz oczywista — zmiennymi.

Życie literackie tak potężnego mecenasu literatury, jakim jest radjo, nabierze dopiero wówczas krwistych rumieńców, gdy kancelaryjny ośrodek cenzurowania rękopisów i wypłacania honorarjów przemieni się w huczącą kuźnię inicjatywy. Gdy studjo literackie stanie się jednocześnie klubem dyskusyjnym pisarzy, sceną rozpalonego pracą zespołu, boiskiem twórczego rozmachu.

### III. NAUKA.

Zagadnienia naukowe w najszerszym znaczeniu słowa skupiają się w Wydziale Odczytowym. I tu mieliśmy charakterystyczną ewolucję. Zaczęło się od przeniesienia katedry wykładowej żywcem do zacisznego studja. Bywały odczyty godzinne i nawet dłuższe. Potem zredukowano je do 25 minut, później skrócono do 20tu. Zaczęto dbać o formę i dobierać coraz wybredniej prelegentów. Stworzono drukowane wskazówki dla nich. Odczyty i feljetyony spadły w czasie do 15 i 10 minut, są nawet osobne rodzaje w ramach 5 minut; ale zarazem doskonaliły się w swej formie radjofonicznej. Poszukiwany stał się typ gawędziarza, prelegenta, który stwarza złudzenie improwizacji. Odczyt-gawęda — oto mniej więcej ideal. Tak samo feljeton możliwie aktualny i błyskotliwy, nie dający słuchaczowi oderwać uwagi od głosińka.

I tu boryka się Wydział Odczytowy z trudnościami, nie dającymi się w żaden sposób pokonać. Aktualność! — wołają słuchacze i woła sumienie radjowca. Dobrze. Ale program układa się i rozsyła na cały świat na 4 tygodnie naprzód. Więc aktualności w sensie dziennikarskim należy wstawić później; to znaczy: nie zapowiadać ich w druku i łamać dla nich poprzednio ustalony program; to znaczy: słuchacz nie będzie o nich wiedział.

Inny dylemat. Czy dbać o wysoki poziom naukowych odczytów radjowych, czy o ich popularność? Jedno i drugie jest wskazane, a jedno i drugie łączyć potrafią tylko nieliczni, wyjątkowi prelegenci. Więc znów trzeba rozbić na dwa tory: odczyty „dla honoru domu” i pogadanki popularyzatorskie.

Inna rozterka: czy radjo jest uniwersytetem, stosującym zasady szerzenia wiedzy według ściślejszych form — czy raczej magazynem, w którym wszystkiego jest potrosze? Nieszczęściem radja było zawsze właśnie to, że jest jednym i drugim jednocześnie.

Oczywiście: radjo ma nietylko bawić, ale i uczyć. Nie tak uczyć, aby na początku audycji uziemiły się wszystkie anteny abonentów. I nie bawić tylko bezmyślnie. Ale jeszcze ważniejszą wydaje mi się rzecz trzecia: radjo musi przyzwyczajać swoich odbiorców do samodzielnego myślenia. Nietyle gotowe im podawać formułki, ile mądrą drogą doprowadzić ich do tego, by wysnuli własne wnioski. A więc ma tępić martwe szablonne myślenia, wyuczone bezdusznie formułki życiowe — pomagać im w wyrabianiu sobie własnego zdrowego poglądu na ludzi, rzeczy i życie. I dlatego musimy nazwać niezmiernie doniosłą wszczętą dawniej w nieśmiałych próbach, a w ostatnich miesiącach na większą skalę — akcję audycji dyskusyjnych. Formy są różnorakie: gotowe odczyty z zawartem w nich ziarenkiem prowokacji do dyskusji, albo dialogi osób o sprzecznych poglądach, albo zleka inscenizowane transmisje z zebrań

dyskusyjnych na żywotne tematy — albo wręcz nieprzygotowane dyskusje, nagrane na taśmie „Stille“ i dopiero po przekontrolowaniu puszczane na antenę. Tu tkwi przyszłość odczytu radiowego, dotychczas w pełni nie doceniana! Sugestia mówcy, którego myśli w obecności słuchacza nabierają kształtu, torują sobie drogę, walczą, zbroją się w argumenty, błyski dowcipu, asocjacje i nerw polemiczny. Takie pojedynki dialektyczne mogą zawsze liczyć na pełne napięcia audytorium. Jest to poza tem rdzenia domena radja.

Wymówiliśmy słowo: polemika. Radjo zaczyna myśleć o polemice *pro domo sua*. Rzecz niebawoma: radjofonia, dotychczas chroniąca się skutecznie (i słusznie) przed własną agresywnością w stosunku do kogokolwiek, unikała zawsze polemiki w obronie własnej. Czy jesteśmy tutaj w przededniu uczynienia śmielszego kroku naprzód?

W ewolucji odczytu radiowego widzimy wyraźną drogę: od chaosu pierwotny i dłuższy oraz dorywczości dawnych prelekcji — poprzez pojedynczy odczyt oderwany — do przemyślanych i dobrze skonstruowanych cykli odczytowych.

#### IV. ŻYWA WIADOMOŚĆ.

Radjo — ucho świata. Cały wielki kontynent zagadnień odsłania się przed nami, skoro myślimy o słuchaczu, który mieszka daleko od centrum, nie wie i nie widzi. Dla niego odbiornik musi być prawdziwym *Je sais tout*. Fonografja życia — codzienna, pogodzinna, wszechstronna, prawdziwa. Cały świat w słuchawce, że tylko wybierać. Dziennik poranny, południowy i wieczorny. Nagły telegram o każdej porze. Żywy obraz z każdego terenu, czy to będzie wielki ewenement narodowy, czy przemówienie najwybitniejszych ludzi, czy nabożeństwo; elektryzujące fakty naukowe, sport, czy też najprostsze życie fabryki, szpitala, dworca. Mikrofon wszędzie. Kadry reporterów. Na ten dział programu kładzie się coraz większy nacisk.

Ale już nauczono się, że reporter musi ładzić, wybierać, musi być artystą kompozycji, musi mieć syntetyzujące ucho. Nie może otwierać mikrofonu bylekiemu i na byleco. Każda transmisja z życia musi mieć pełne swoje życie, samodzielne, sugestywne, dynamiczne. Wtedy porywa słuchacza aż do zaparcia tchu i wycisnienia lez z oczu. W tej artystycznej robocie pomaga reporterowi szereg środków, jak taśma Stille a, płyta gramofonowa, taśma wreszcie filmowa.

Z tak pojętego reportażu radiowego bardzo wiele nauczyć się mogą autorzy artystycznych słuchowisk, szukający dla wizji twórczej szaty najbardziej współczesnej i powszechnej. Dobrze prowadzona transmisja z emocjonujących zawodów sportowych może być znakomitą szkołą umiejętności narzucania swej artystycznej woli oddalonemu słuchaczowi.

#### V. RAFY I DROGOWSKAZY.

O jednym wielkim niebezpieczeństwie należy wciąż powtarzać, mimo że liczne boje ostrzegawcze stale zwiastują jego bliskość. Jest to równanie wdół, obniżanie wymagań do poziomu najniższego słuchacza, który zresztą często jest lepszy, niż się myśli. Owa straszliwa „aurea mediocritas“ w imię hasła „wszystko dla wszystkich“, mogącego się łatwo wyrodzić w praktykę: „nic dla nikogo“.

Druga groźna rafa. Wiadomo, jak trudno o humor radiowy, gdzie tyle jest rzeczy zakazanych, drażliwych, wątpliwych. Jak trudno o ten humor wogóle w naszym klimacie. Więc goni się ów śmiech i uśmiech, łapiąc go jak w siatkę motyla. A gdy wyjdzie wreszcie po tamtej stronie głośnika, widać, że ma polamane skrzydła i starty pyłek tęczowych barw. Utrwały się pewne typy audycji, dzięki szczęśliwie wycytemu gatunkowi „szerokiego popytu“, wówczas odbywa się chybotała żonglerka na krawędzi wulgarności. Delikatniejszy, literacki humor nie ma oddźwięku. Trudno wogóle w Polsce o widza lub słuchacza z poczuciem dowcipu. My się zaraz obrażamy, czujemy się dotknięci w najświętszych uczuciach. Radjo szuka swego dowcipu. Nowego typu humoru, który będzie miał siłę zapalną, mimo potargania wzrokowych nici między producentem a konsumentem śmiechu (a te nici są przecież podstawą *vis comica* w każdym zbiorowisku ludzkim)...

Ta powszechna u wytwórców programu radiowego pogoń za humorem przenika tak dalece wszystkie komórki repertuarowe, że staje się chwilami jakąś *idée fixe*, niemal obsesją. I niekiedy mści się krwawo, kiedy za wszelką cenę wyciska się ze wszystkiego ową natrętą wesolkowość. Radjo ma obejmować wszystkie dziedziiny życia. A nie wolno bezkarnie — zamiast iść przez życie — zawsze tylko *przechadzać się* i to w podrygach, z ustami złożonymi do gwizdania...

Trzecia nieustanna groza wisi nad antenami nadawczymi w postaci powszechnej łatwości krytykowania. Każdy ma prawo, bo daje mu to prawo nie inteligencja, nie nabyta wiedza i powaga życiowa — lecz kwitek za opłacony abonament. I słucha tych głosów skwapliwie człowiek radja, słuchają wydziały i dyrekcje, a Biuro Studiów analizuje pedantycznie listy słuchaczy i robi z nich pilne zestawienia. Słusznie. Krytyka zzewnątrz jest ważna i pożyteczna, mimo że Polskie Radjo ma własną, bardzo surową, sumienną i mocno zorganizowaną. Z tych głosów odbiorców stara się jakiś bodaj wysnuć wnioski. Ale to sprawa trudna, o wynikach częstokroć więcej niż złudnych...

Przeglądając się dzisiejszemu stanowi ewolucji radjofonii polskiej, zabawmy się w prorocтва co do dalszego ciągu linii rozwojowej. Jeśli chodzi zatem o poczynania praktyczne o znaczeniu szerszym, wchodzący w erę zainicjowania radjofonicznych badań naukowych — zarówno na polu muzyki, jak i słowa artystycznego. Stoimy w przededniu stworzenia laboratorium doświadczalnego, studio eksperymentalno-pedagogicznego, szkoły dla prelegenta, reportera, aktora i reżysera radiowego. Wykonawcy i twórcy programu zaczynają się schodzić w klubie na dyskusje o sztuce radiowej. Uraśćać będzie teoretyczna i praktyczna literatura wszystkich przedmiotów wiedzy słuchowej. Powstaną archiwa dźwiękowe nagrane na płytach i taśmach filmowych dokumentów historycznych, zdarzeń życiowych i dzieł sztuki akustycznej. A pod bokiem mnożyć się nam będzie awangarda radjowców, artystów wszelakiego autoramentu.

Program artystyczno-ideowy na drugie dziesięciolecie Polskiego Radja ująłbym w trzech następujących hasłach sztafardowych:

Śmiałość inicjatywy artystyczno-społecznej i konsekwencja w obronie tej śmiałości.

Pogłębianie zdobytych radjofonicznych i ożywczość dalszych poszukiwań.

Istotna aktualność, połączona z ciągłą świadomością spełniania ważnej pracy państwowej.

Sądzę, że urzeczywistniając silną ręką te trzy zasady, sami znajdziemy odpowiedź na pytanie dręczące wszystkie radjofonie Europy: czy radjo ma być uczelnia, gazetą — czy lunaparkiem.

WITOLD HULEWICZ

## POWIEŚĆ

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA: *18 Spotkań*. Lwów — Warszawa (1935). Książnica-Atlas.

Książka ta jest zbiorem kilkunastu opowiadań, bardzo nierównych co do wartości, w pośród których kilka zaledwie zasługowałoby na miano nowel. Obok wywiadu-reportażu *Spotkania*, obok feljetonowego obrazku *Liniejąca malpka*, znajdziemy tu utwory w typie *short-stories*, jak *Beata*, *Maska*, mętna, sentymentalna *Grafomańska historia*, i dobrze skomponowane i pomyslane nowele, jak *Na wysokości zadania*, *Potęga*, *Kaczuszka*, *Władczyni*. Braki tych opowiadań płyną z niekompletności wizji poetyckiej, z nieskrystalizowania pomysłów, z przypadkowości w wiązaniu wątków, i w prowadzeniu obserwacji. Nierówność w przemyśleniu, przeżyciu i opracowaniu pewnego wycinka rzeczywistości, w obdarzaniu uwagą i prześwietlaniu intuicją różnych planów danego pomysłu czy wizji — jest nazbyt może widoczna. I tak, gdy chodzi o psychikę kobiecą, znajdziemy w wielu nowelach Szemplińskiej przenikliwie i prawdziwe obrazy i analizy niektórych stanów uczuciowych i przeżyć. Tak jest z zazdrością Antczakówny w noweli *Potęga*, ze sprawą pomiędzy młodą, t. zw. uczciwą dziewczyną, Garborewiczówną, a prostytutką Ksenią w *Na wysokości zadania*.

Również sylwetki kobiet z dalszych planów, podkreślone kilku rysami charakterystycznymi, czy to w sposobie mówienia, czy to zachowania się lub stosunku do pewnych zagadnień, występują z dużą plastyką i prawdą. Ciekawe, że te żywo narysowane postaci należą przeważnie do sfery drobnomieszczańskiej. Właśnie obserwacje z tego środowiska mają u Szemplińskiej potrzebny w nowelach lapidarność i ostrość. Gdy sprawy zaczynają przenosić się na teren środowisk innych, obserwacje stają się zewnętrzne i schematyczne, często dostosowane do tendencji. Mężczyźni zaś wydają się w tym zbiorze osobami nie z tego świata. Ich postaci robią wrażenie jakichś niezrozumiałych w tym kobiecym świecie wyobraźni przedmiotów czy mechanizmów. Są to dla Szemplińskiej przedmioty atrakcyjne, ale ich psychika jest dla autorki jakby sprawą zamkniętego pokoju, do którego nie można zajrzeć nawet przez dziurkę od klucza. To też te i owe utwory robią wrażenie bajek, w których działają osoby znane nam obok jakichś stworów

zmyślonych. Zresztą ta bajkowość nie ma dla mnie znaczenia negatywnego. Atmosfera bajki up., podobna do atmosfery bajek Andersena, panuje w ładnym obrazku *Plac*. Ale jest to już bajka inna, bajka z tezą społeczną. Na miejsce Andersonowskiego pogodnego smutku i melancholji tu mamy goręcy, trud i śmiecie współczesności. Ludzie tu są symbolami, dla których z łatwością mogliśmy znaleźć odpowiedniki z rzeczywistości. Wyraźny i niedwuznaczny symbol podwyższania popielatego muru, rozdzielającego kapitalistyczną spóldzielnię od placu nędzarzy mówi nam tu o tendencjach i programowości w twórczości Szemplińskiej. Programowość jej jednak jest w większości wypadków akcentem do czepionym „na siłę“ do zadania prozatorskiego, a nie wyrasta organicznie z pomysłu.

Nierówny poziom utworów, zawartych w *18 spotkaniach*, da się usprawiedliwić różnym czasem ich powstania. Spotykamy w tomie opowiadania, które zostały napisane przed r. 1928, a więc jeszcze wtedy, kiedy autorka nie wydała pierwszej swej książki. Te wcześniej napisane opowiadania różnią się od późniejszych nie tylko zawartością większej dozy sentymentalizmu i naiwnością stylu, lecz i brakiem programowości. Mimo wad opowiadań Szemplińskiej, książka w sumie stanowi pozycję ciekawą, jako wyraz niewątpliwego talentu pisarskiego. Talent ten ujawnia się nawet w potknięciach, w jakiejś chaotyczności, nieuporządkowaniu obserwacji. Autorka chwytła pomysły i podaje je ze zbytnim popiechem, bez gruntownego przemyślenia. Jest w tym popiechu coś z impresjonizmu, ale brak jeszcze Szemplińskiej norm kompozycyjnych, któreby nadały tym jej nowelom piętno zupełnej dojrzałości. Należy oczekiwać, że autorka znajdzie drogę do pełnego wyrazu swej osobowości, tem bardziej, że dała już interesującą próbę sił na polu powieści książką *Narodziny człowieka*. Prawdopodobnie niedługo ukaza się dalsza część tej powieści i wtedy indywidualność Szemplińskiej zarysuje się wyraźniej.

WŁ. SEBYŁA

\*

JERZY MARLICZ: *Osmiornica*. Powieść. Poznań (1935). Księgarnia Św. Wojciecha.

Wśród powieści doby ostatniej książka powyższa zajmuje dość odrębne miejsce. Jest wyraźnie i szczerze powieścią rozrywkową, skomponowaną z talentem i kulturą literacką.

Akcja powieści rozgrywa się na Syberji, znanej autorowi dobrze i dokładnie — nie na tragicznej Syberji anhelicznych wygnañców, nie na Syberji Sieroszewskiego — ale na uroczej ziemi, gdzie zima i lato, wschody i zachody słońca są niepodobne do żadnych innych i najpiękniejsze w świecie. Zarówno przeszliczne, naturalnie powiązane z akcją obrazy natury, jak i szczegóły obyczajowe, charakteryzujące tamtejszych ludzi, nadają powieści piętno interesującego egzotyizmu.

Rzecz dzieje się w pierwszej fazie rewolucji rosyjskiej — ale, dzięki Bogu! — stykamy się z rewolucją o tyle, o ile wieści o niej dochodzą do spokojnie żyjących na swojej ziemi i w swem miasteczku bohatera powieści — do zruszczonego Polaka, prokuratora Derwicza i jego córki Nataszy, i do jego przyjaciela — inżyniera Toczyskiego, u którego zamieszkała, chroniąc się przed przewrotem, para hrabiowska z synem.

Akcja toczy się w zakresie perypetyj uczuciowych Nataszy, zaręczonej z bogatym Rosjaninem, a zakochanej w tajemniczym Włochu-oficerze. Akcję ową zawęzła autor na sposób sensacyjny, okrywając przez długi czas tajemnicą osobę pielęgniarki hrabiowskiej, która ma jakąś przemożną władzę nad obu mężczyznami, zakonami i Nataszą. Ona właśnie, kobieta-spieg, jest tytułową Osmiornicą, duszącą ludzi w swych objęciach. Ten demonizm niezupełnie jest wytrzymany do końca, co stanowi słabszą stronę powieści.

Dośkonale natomiast jest przeprowadzona charakterystyka innych postaci: przede wszystkim pełna wdzięku, słaba i bierna Natasza, której przeciwstawia autor energiczną i dumną Teresę — młodą Polkę, przybyłą do wuja na Syberję. Uderza w *Osmiornicy* duża wyobraźnia autora w stosunku do typów ludzkich — hrabiowie Kestenowie, ich syn Aki, poskramiający hypnozą zwierzęta, ponury, nieufny Derwisz, młode Rosjanki-sybiraczki i ich niańki wypełniają powieść barwnym, ruchliwym życiem. Należy zwrócić uwagę na dobrą literacką polszczyznę stylu, co nie jest najczęstszą zaletą współczesnej powieści.

Exgortyzm tła, interesujące przeprowadzenie fabuły, śmiałe zarysowanie postaci, wreszcie dobry, niekiedy ładny styl czynią z *Osmiornicy* wzór lżejszej lektury, tak pożądaną w naszym czytelnictwie, a tak słabo reprezentowaną.

ZOFJA MIANOWSKA

\*

IGNAS SEINIUS: *Siegfried Immerselbe odmladza się* (*Siegfried Immerselbe atsijainina*). Kaunas, 1934.

W ostatnich lata powieść litewska zyskała kilka wartościowych pozycji. Po romansie *W cieniu ołtarzy* V. Mykolaitisa-Putinasa (1933), po satyrycznym, żywym *Franku Kruku* P. Cvirki (1, 1934) sensacyjnie zabłysnął *Siegfried Immerselbe odmladza się* (listopad 1934). Sensacja to wieloraka. Po pierwsze, autor, doniedawna naczelny redaktor rządowego *Lietuvos Aidas*, przerwał swoje długoletnie milczenie literackie i przerwał je dosyć udatnie; po drugie, temat zaczerpnął z najświeższych, jeszcze toczących się dziejów Niemiec, usiłując zmiążyć i ośmieszyć satyrą narodowo-socjalistyczne przekonanie o wyższości rasy germańskiej.

Treść — w skróceniu — taka: prof. dr. (oczywiście) Siegfried Immerselbe, teoretyk rasizmu, generalny dyrektor założonego przez się *Das Neue Anthropologische Museum* w Monachium, oprowadzając po temże muzeum wycieczkę kobiet amerykańskich, przekonywał się, że starość nielitościwie i niezmęczenie podkopuje jego siły i odejmuje jasność umysłu. To smutne przeświadczenie skłania go do wyjazdu do „odmłodzeniowego“ sanatorium dra Gonzano nad Lago di Garda we Włoszech. Tutaj staje się rzecz nieoczekiwana. Młody i zdolny lekarz, Litwin, Piotr Inketonis, zabieg „odmłodzeniowy“ przeprowadza z pomocą żydowskich hormonów i oto Immerselbe staje się fizycznym i duchowym Żydem. Ale jest mu z tem wewnątrznie dobrze, gdyż zmiany fizjologiczne przekształcają całkowicie jego sposób czucia i myślenia. Nasuwającej się tu możliwości stworzenia tragedji ewentualnego rozłożenia osobowości — dusza hitlerowca, ciało Żyda, wraźna nowa dusza Żyda — autor nie wyszukuje. Odmłodzony i „zżydony“ Immerselbe pisze sensacyjne *Grundlagen für eine neue Menschheit*, propagując planową hodowlę ludzi, uskutecznią drogą zastrzyków hormonowych, tak, aby nastąpiło całkowite zniszczenie teraz istniejących ras, co ma dać naturalne podwaliny pod wszechludzkie braterstwo. Za fragment swego powołania życiowego uważa Immerselbe wyzwolenie swojej niemieckiej ojczyzny z pod ucisku idei „najwyższości“ rasy germańskiej, której to idei sam był gorliwym apostołem.

Nic dziwnego, że, jak głosi plotka, jeszcze przed ukazaniem się książki na rynku księgarskim, miało w tej sprawie interwenjować poselstwo Trzeciej Rzeszy!

Rzecz napisana jest bardzo żywo i zajmująco, stylem dla Litwy dość nowym; niektóre posanatoryjne przeżycia Immerselbego są głęboko odczute i czarownie młode. Są jednakowoż niedociągnięcia w koncepcji ideowej i koncepcji charakteru głównego bohatera. Odmłodzony Immerselbe rozkocharuje się w pięknej Salome Moselblum i budzi w niej wzajemność. Ojciec Salome, nowojorski milijarder, okazuje się nieprzejednany i nie chce zgodzić się na małżeństwo: „Naród żydowski, zniszczywszy swego największego wroga mocą swej krwi, już zwyciężył. Nie oddam ukochanej córki wrogowi, który przegrał“ (str. 263); „Nie potoczę wychowałem, abyś zdradziła naszą religję i rasę“ (tamże); „Pamiętaj, że twój stary ojciec będzie zmuszony cię przekłąć. Wszystkie pieniądze rozda pomiędzy ubogich. W tej chwili zamknę wszystkie swoje instytucje. Na pola wyjdzie“... (tamże).

Córka zastawia się do woli ojca. Tutaj patryjotyzm rasowy żydowski przyobleczony został w majestę. Ponieważ n i e m i e c k i rasizm autor wyszydził, gdzież więc konsekwencja?

Wogóle satyra jest słabą stroną talentu autora. Dowcip jego jest melancholijny raczej, niekiedy z domieszką zgryźliwości, w każdym razie — nieintensywny.

Charakter powieści niemile mąci brutalny epizod z wojny i związany z nim motyw zemsty. Otóż Immerselbe w czasach okupacji był Kreishauptmannem w Ucinie (między Kownem a Dynaburgiem). Pewnego razu jakiś chłopiec, porwany nienawością do Niemców, postraszył konie pojazdu, którym przejeżdżał Immerselbe. Kreishauptmann kazał zatrzymać powóz, złapał chłopca i przywiązawszy go na sznurze, kazał pędzić konie. Chłopiec, którym był późniejszy lekarz, Piotr Inketonis, straszliwie poraniony, stracił przytomność. Inketonis nigdy się nie dowiedział, kto go tak skrzywdził, i nie czuje się nieszczęśliwy, wskutek tego faktycznie dokonana zemsta wydaje się czemś łagodnym. Jednakowoż brutalność epizodu w tym kontekście artystycznym, jakim jest powieść, razi nieharmonijnością, budzi niesmak. Zwłaszcza dużo w tym związku traci satyryczny element powieści, przeważający w jej pierwszej części.

Ale nie dość na tej skazie. Nie uda się ośmieszyć człowieka, jeżeli się wmiezza w jego życie bolesną tragedję. Walter Immerselbe, najstarszy syn ideologa rasizmu, za przynależność do partji socjaldemokratycznej znalazł się w obozie koncentracyjnym. Bruno — namiętny komunista — za wysa-

dzenie w powietrze mostu żelaznego w Sakszoni skazany został na 15 lat więzienia. Najmłodszy, narodowy socjalista Otto, zginął na ulicach Berlina w walce z demokratami. Czy kogoś, kogo spotykały takie ciosy, jeżeli z pełnią wiary i entuzjazmu pracuje na chwałę swojej ideologii, czy kogoś takiego można ośmieszyć? Immerselbe-rasista stoi ponad satyrą.

Ze Immerselbe po odrodzeniu jest gruntownie inny, to rozumiemy, ale dlaczego innym przedstawia go autor w jego dziełach wojennych, zresztą fragmentarycznie tylko zobrazowanych, nie da się to niczem usprawiedliwić. W wojsku Immerselbe jest zwykłym administracyjnym pijaczyną, grupuje koło siebie lubiących wypić oficerów i wyzszykuje stosunki. Więc to ten sam tragiczny idealista z czasów hitlerowskich, ten sam idealista-student, który wbrew woli rodziców, bogatych handlarzy wina z nad Renu, bez ich zgody i pomocy materialnej, sam, własnymi siłami dochodzi do doktoratu? Doprawdy taką niezłożoną satyrę należało w powieści dla jej dobra usunąć.

Mimo wad Immerselbe odmalował się jest bardzo dodatnią pozycją w literaturze litewskiej. Autor opuścił teren Litwy, odechnął szeroko powietrzem Europy, potrafił o struny wszechludzkie, i tem wszystkim walnie się Litwie przysłużył.

STANISŁAW WESTFAL

Koeno.

## TEATR

TEATR POLSKI: *Zburzenie Jerozolimy*, epilog wojny rzymsko-żydowskiej w 3 częściach TADEUSZA KONCZYŃSKIEGO.

Uhoczny dramat, który towarzyszył wystawieniu *Zburzenia Jerozolimy*, jest dla mnie bodaj ważniejszy od sztuki samej. Konczyński jest tylko w połowie jego autorem, resztę zrobili jego kochani koledzy. Wiedząc, że jest hojnotowany przez warszawską pajdokrację starszą i młodszą, Konczyński puścił się na figiel: przesłał swoją sztukę dyrekcji teatru pod przybranym nazwiskiem, udając, że jest autorem początkującym. Świetna i uzasadniona mistyfikacja, — i ja sobie nie raz o takiej myślałem. Dyrekcja zainteresowała się nieznanym autorem, i teraz — czyż uważała dalszą mistyfikację za niemoralną, czy że już była niemożliwa, dość że Konczyński zdjął przyłbicę.

Dyrekcję ogarnęła konsternacja, bo przecież wiedziała, że Konczyński jest ofiarą uparcie i brutalnie rozpowszechnianego talentyzmu; o kim oni, skamądrale, powiedzą, że jest „wyprany z talentu“, ten przepadł, bo wszystkie mniejsze pieski, nawet endeckie, wpadną w ten sam ton. Wszak swego czasu w ten sposób został zaszczekany Kawecki ze swoim *Balwierzem zakochanym*; jedyna wówczas sztuka z problemem psychoanalitycznym (i to samodzielnie!), której dzisiejsze próby psychologizowania powieściowego nie dorównują, a nawet miała powodzenie teatralne; ale wypompowani z talentu krytycy, a za to nadęci pychą znawcy uparli się, że nie i nie, że Kawecki musi być takim, jakim go oni mieć chcą, i terror swój preparali. (Patrz art. „Przesady krytyki“ w *Słoniu wśród porcelany*.) Cóż dopiero Konczyński! Aniołowie opinii *Wiadomościowej* z płomienistymi mieczami oddawna zagradzali mu wejście do bram teatrów, ale on przecież dostał się do środka, coppers pod maską, tańczącym krokiem pełnego nadziei młodzieńca, bo — o zgrozo, i tu jest kamień obrazy! — dyrekcja nieopatrznie dała mu patent na talent, naruszając przez to monopol mafii. A więc zemsta mu! Ukarać przykładowie i jego i naruszycieli monopolu!

Egzekucję wykonano bez żadnego talentu, ale za to ze zwykłym tupetem. I wdał się w to jeszcze ten trzeci: żydowski dziennikarz, który szukając zera politycznego, uparli się wmawiać w publiczność, że sztuka jest antysemitka. „Ten trzeci“ — figura socjologicznie zawsze bardzo ważna. W tym wypadku głupi hojnot żydowski doskonale oświetla głupi hojnot literacki i łączy się z nim: oba pochodzą z tej samej terrorystycznej, arbitralnej mentalności. Sztukę musiano zdjąć z repertuaru po niewielu przedstawieniach. Pajdokracja zemściła się na autorze, który śmiał przekroczyć kwarantannę, rąkali ręką w rękę z endecją zemścili się na T. K. K. T., a żydzi zemścili się na endeckach.

Konczyński popełnił ten główny błąd dramaturgiczny, że swęj komedji mistyfikacyjnej nie dociągnął do końca. Przelamawszy hojnot samego teatru, myślał, że już ma wygraną w kieszeni, a tu czekała główna hydra: krytyka nastrojona zwłaszcza teraz na huza wobec T. K. K. T. (*locus minoris resistentiae* rządu), szukająca tylko pretekstów. Trzeba było mieć cierpliwość aż do chwili, kiedy ukażą się wszystkie recenzje, ewentualnie podstawić kogoś za siebie. Także dyrekcja powinna była mieć to wyrozumienie sytuacji, chyba że się obawiała, że za dalsze zachowywanie sekretu prasa zemściłaby się jeszcze

gorzej. Komuś tu jednak zabrakło odwagi czy pomysłu, żeby eksperyment socjalno-literacki doprowadzić do końca.

Nie żebym sądził, iż w razie nieujawnienia nazwiska autora posypałyby się na niego pochwały. Ale przynajmniej nie osądziłoby autora od czci i wiary. Możeby się poznano na tem, że jak na początkującego ma dużą rutynę, możeby wytykano te same wady, ale nie tym brutalnym i absolutnym tonem. Jeszcze zauważę co do mistyfikacji literackich, i wogóle artystycznych, że nie dowodzą one niczego, ani gdy się udadzą ani gdy się nie udadzą. Każdy może być wprowadzony w błąd; ten sam wierszyk Wyspiańskiego może być uznany za genialny lub za bzdurę, gdy się wie o autorze lub gdy się nie wie; w pierwszym wypadku zwraca się baczniejszą uwagę na jego właściwości i odnosi się je do pewnego już ustalonego systemu walorów, w drugim czyta się mniej ostrożnie i ma się mniej pomocniczych danych z poza dzieła. Przysłowie: *si duo faciunt idem, non est idem* wchodzi wtedy w swoje prawa. Jedno wiem napewno: że nieuznanie dzieła zakonspirowanego geniusza może być bardzo łatwo świadectwem nietylko braku znawstwa i le arrogancji, natomiast uznanie dzieła autora niezagwarantowanego może świadczyć właśnie o subtelności i wrażliwości tego, który został zmistyfikowany. Zresztą przyznajmy szczerze: cała nasza literatura, i nietylko nasza, jest zakłamana, jej każdorazowy układ rang i ocen trzyma się inercją, terrorem, kłamstwem, reklamą, liżbybawstwem, przemilczaniem, malpiarstwem, przypadkowością. Inaczej być nawet nie może, bo literatura jako pewien płynny system narodowych wartości estetycznych jest także sama utworem, wielkim utworem zhiorowym, a więc z wszystkimi wadami takiego utworu. Niema więc co triumfować obłudnie, że ktoś tam się na Konczyńskim nie poznał; chyba że się to robi z przerażenia, że się o mało co samemu w pułapkę nie wpadło.

Prawie wszystkie wyliczone przez krytykę zarzuty przeciw *Jerozolimie* są albo werbalne, wyzwickowe, ogólnikowe, i nie nie mówią, bo każdej chwili do każdego dzieła mogą być przypieczone, np. gdy *Wiad. Lit.* poprostu twierdzi, że *Jerozolima* to „ramota“, albo są jakgdyby umiłowione już na premierze wspólną szykaną. Tyczą się to zwłaszcza szczegółów. Przypieczone są np. do tego, że Berenika chce uwieść Tytusa, obiecując mu nieznaną rozkosz indyjską, — co tutaj jest zupełnie na miejscu; albo że Tytus mówi tak często o sobie, że jest chłopem samnickim, — a przecież w *Judaszu Rostworowskiego* powtarza się tyle razy: ja w Galilei sklepik miał.

Mojem zdaniem sztuka stoi zupełnie na poziomie godnym Teatru Polskiego i mogła się długo utrzymać w repertuarze, gdyby na to pozwoliła warszawska szkoła arrogancji. Aż do połowy sztuka jest przeprowadzona umiejętnie i logicznie, nawet aż zanadto logicznie; po dwóch stronach gromadzi wielkie sumy siły, które wpadają z sobą w konflikt. Są dobre sceny, wyraziste charakterystyki, wyborna jest scena wspólnej narady Rzymian z ugodowcami żydowskimi. Samo już uporządkowanie i udostępnienie historycznego materiału jako widomko ma swoją wartość. Autor skupił dramat około zagadnienia: czy Tytus ma zburzyć świątynię, czy ją zostawić? — ale postawiwszy je, nie potrafił go rozwiązać dramatycznie. Bo jeżeli Tytus od początku jest na zburzenie zdecydowany, jeżeli ani chwili się nie waha, to jest tylko ordynarnym graczem dyplomatycznym, oszustem, i cały dramat jest tylko zewnętrzny, rozstrzyga się między ostrzami mieczy, a nie w sercach i umysłach ludzkich. To jest błąd główny sztuki; ale trzeba znać pokrewną *Jerozolimie Judytę* Hebbła, aby wiedzieć, jakie są nieodzowne warunki najwyższego dramatyzmu.

Zarzucono, że Konczyński posługuje się w dialogu gwarą dzisiejszą, gaziarską. Czyni to on świadomie, to jest dobry pomysł stylistyczny. Lecz nie rozróżnia dokładnie dwóch rzeczy: co innego jest sztukę zaktualizować, unowocześnić, jak to zrobił Hemar z *Troją hulajską*, a co innego uobocznie pokazać, że dzisiejsze konflikty polityczno-kulturalne mają coś wspólnego z wypadkami z przed wieków i nie odbierać tym wypadkom ich osobnej barwy. Uparte podkreślanie „rzymskiej racji stanu“ i „żydowskiej racji stanu“ robi wrażenie popularnego wykładu historjoficznego i wprowadza oschłość, choć właśnie ta „racja stanu“ mogła się podobać głowom politycznym z T. K. K. T. Dramaturg-poeta powinien się czuć różnie od dziennikarza; ma on sięgać do ludzkich, wieczystych korzeni tego rodzaju pojęć jak „racja stanu“, robić niejako ich poetycką rewizję, a nie cieszyć się ich brzmieniem. I co gorsza, autor nie udostępnił nam ani jednej ani drugiej racji. Obie pozostają nam w gruncie rzeczy obojętne.

Wreszcie co do perspektyw historjoficznych, jak np. pomysły zakończenie z chrześcijaninem, którego krzyżują na gruzach zburzonej świątyni żydowskiej. Jeden z niewielu umiarkowanych krytyków *Jerozolimy*, p. Syruceki, w *Tygodniku Ill.* żaluje, że Konczyński nie uwzględnił jeszcze dal-

szych perspektyw historyczno-kulturalnych, że nie skonfrontował judaizmu z hellenizmem. Aż tyle! czy: tylko tyle? Myślę, że tego rodzaju perspektywy im szersze tem chłodniejsze; przykładem żydowskie dramaty Hebbła, i tragedie Wyspiańskiego z tak akademickimi syntezami jak *Chrystus-Apollo* w *Akropolisie*. Nawet jeżeli taka rzecz uda się autorowi, to dopiero nic z tego. Robił takie eksperymenty Zegadłowicz w swoich dramatach, i Rostworowski, i nie mogli się pozbyć pewnego nalotu — jakby jeszcze ze szkoły.

KAROL IRZYKOWSKI

## NAUKI SPOŁECZNE

LEOPOLD CARO: *Prawa ekonomiczne a socjologiczne*. Biblioteka Polsk. Tow. Ekonomicznego we Lwowie, tom VII. Odbitka z *Przeglądu Powszechnego*. Skład główny: Książnica-Atlas. Warszawa — Lwów 1935.

Broszura znanego katolickiego uczonego w dziedzinie i przystępnej formie porusza problematykę arcyżywo w dobie wielkiego kryzysu społeczno-gospodarczego oraz powszechnego zainteresowania dla zjawisk z nim związanych.

Panujący w pewnej mierze dotąd jeszcze liberalny ustrój gospodarczy opierał się na t. zw. wolnej grze sił ekonomicznych regulowanej przez „prawa automatyczne“: stosunku podaży do popytu, wolnej konkurencji i in. Według ekonomiki liberalnej prawa te miały samoczynnie usuwać wszelkie zakłócenia procesów gospodarczych i zapewniać idealną ich celowość oraz harmonję.

Prof. Caro stanowisko to zwalcza. Niezawodność i powszechność automatyzmu w zjawiskach życia gospodarczego nie sięga dalej niż przewaga egoizmu jako naturalnego impulsu działalności gospodarczej. Egoizm zaś zajął wprawdzie wśród tych impulsów miejsce szczególnie wydatne w społeczeństwach kapitalistycznych, ale nawet tam nigdy nie panował tak bezapelacyjnie, żeby wyłączyć z życia gospodarczego współczynniki psychologiczne odmienne. To też „prawa automatyczne“ nie działają wcale tak niezawodnie i powszechnie, by godziło się podnosić je do godności praw przyrody. Zasluguja conajwyżej na miano *tendencji* o względnej i dość zawodnej sile realizacyjnej. Poza obręb ustroju kapitalistycznego, w przeszłości i w krajach egzotycznych prawa te, zdaniem autora, nie sięgają. O ile zaś podnoszone bywają teoretycznie na wyżyn fatalistycznych a rzekomo dobroczynnych potęg, to jedynie w klasowym interesie władców kapitalu.

Cała wogóle liberalna doktryna ekonomiczna jest wybitnie jednostronna i subiektywna, o ile zaś w prawach przez nią formułowanych istnieje pierwiastek realny, to przeważnie natury nietylko ekonomicznej i psychologicznej i biologicznej. Rzeczywistych praw rządzących życiem gospodarczym obiektywna wiedza dotąd nie wykryła, można jednak uważać za pewnik, iż nie dadzą się one ustalić inaczej jak w ścisłym związku z psychologią i biologią. Zapewne też prawa te, jak całą wogóle ekonomikę, przyjdzie w przyszłości podporządkować szerszym ujęciom socjologii. Prof. Caro formuluje siedm praw socjologicznych, które jako bardziej realne i powszechne przeciwstawia kwestjonowanemu prawom ekonomicznego automatyzmu. Są to: zależność człowieka od przyrody, przewaga woli ludzkiej nad przyrodą, wzajemna zależność ludzi od siebie, podział pracy, większa społeczna wartość współdziałania niż współzawodnictwa i wreszcie prawo pierwszeństwa dobra ogółu nad dobrem indywidualnym.

Tendencja pracy idzie z duchem czasu, zwraca się przeciwko nieokiełznanej swobodzie gospodarczej walki o byt, zmierza do jej podporządkowania celowości etycznej i społecznej, pośrednio popiera dążenia do gospodarki planowej, jako nowej podstawy ustroju społecznego. Zastrzeżenia jednak budzą zarówno zasadnicza odmowa charakteru praw objawom automatyzmu, jak poszczególne argumenty, przeciwstawiane niektórym z pośród tych objawów. Że prawa automatyczne maximum swej skuteczności wykażą mogą tylko w ustroju, nie krępującym wolnej gry sił ekonomicznych, to rzecz niemięcej oczywista od tego, że każde ograniczenie tej gry ze strony publicznej czy prywatnej zawiera w pewnej mierze automatyzm. Dlatego argumentacja prof. Caro nie przekonywa, gdy neguje automatyzm np. za pomocą takiego wblitnie antiliberalnego zjawiska jak kartele. Albo gdy wyszukuje możliwości odchylenia od automatyzmu oparte na współdziałaniu w życiu gospodarczym impulsów pozaegoistycznych, których wielką doniosłość indywidualną przecenia autor w zastosowaniu do zjawisk masowych; albo gdy zdaje się mniemać, że niedokładna

funkcja prawa podaży i popytu w handlu detalicznym kwestjonuje skuteczność tego prawa w obrotach hurtowych, lub gdy prawo to deprecjonuje rzekomo faktem, że działa ono tylko w granicach nasycenia rynku. Również z argumentacją autora przeciwko najsilniej w dziedzinie socjologii wkraczającej doktrynie marxistowskiej materializmu dziejowego niecałkowicie zgodzić się można.

Naogół biorąc, ekonomika liberalna trafnie, moim zdaniem, sformułowała prawa rządzące impulsem egoizmu w zakresie życia gospodarczego. W epoce i ustroju kapitalistycznym impuls ten, zawsze potężny, występował ze szczególną swobodą i siłą, przeto rządzące nim prawa automatyczne w większej mierze regulowały całość kształt życia gospodarczego. Że dziś już nie regulują, dowodzi to, że egoizm jako naczelny impuls gospodarczy napotkał przeszkody, którym nie może podoleć. Stąd kryzys i konieczność przebudowy zarówno psychiki jak ustroju.

Praca prof. Caro daje zwięzły, zbyt może zwięzły i dlatego niezawsze dość jasny przegląd najważniejszych „praw automatycznych“, sformułowanych przez ekonomikę liberalną. Ich zaś krytyką zaciekawia, pobudza myśl, dostarcza wielkie bogactwo materiału dyskusyjnego.

ST. SZCZ.

\*

K. DUDA DZIEWIERZ: *Dzieje Cechu Ślusarzy m. st. Warszawy*. Warszawa 1935.

Bibliografia, dotycząca cechów Warszawy w jej różnych przejawach, dosięgła bardzo wysokiej już cyfry. Książek napisano na ten temat setki, a pomimo to stale ukazują się nowe prace o naszej stolicy, co dowodzi, że mamy tu do czynienia z przebogatym i różnorodnym materiałem tak pod względem ilości, jak również jakości.

Do długiego łańcucha prac o Warszawie przybyło jeszcze jedno ogniwo w postaci pracy p. Duda Dziewierz. O cechach ślusarzy w Warszawie specjalnej pracy dotychczas nie mieliśmy. A czy ta wyczerpała podjęty temat? I tak i nie. To zależy dla kogo została napisana. Należy przypuszczać, że młoda historyczka nie napisała swej pracy dla naukowców. Jako popularna książka może ona spełnić swe zadanie, jako monografia naukowa — nie.

Praca została wydana z okazji 400-letnia istnienia cechu ślusarzy w Warszawie. Z tekstu jednak dowiadujemy się, że niewiadomo, kiedy cech ten powstał. Jest o nim wzmianka z 1635 r., ale jest też wcześniejsza z 1527 i to nie ostatnia. Więc niewiadomo. Czy autorka nie mogła retrospektywnie ustalić ścisłej daty powstania cechu ślusarzy w Warszawie? Materiały do tego znalazłyby się właśnie w Archiwum Głównym, na które autorka się powołuje. Szkoda również, że autorka nie robi przysłów, a dokument Zygmunta Staroego aż się prosi, by przytoczyć go w oryginale.

Malo ciekawa historycznie jest wzmianka, że cech ślusarzy w 1933 r. jeden z pierwszych nabył pożyczkę narodową. To nie rzuca światła na datę jego powstania.

I jeszcze jedno. Dlaczego autorka każe prawie zdanie zaczyna od nowego wiersza?

T. GOŁĘBIEWSKI

## PRZEGLĄD PRASY

O POZIOM POLSKIEJ SZTUKI KOŚCIELNEJ. Włodzimierz Bartoszewicz donosi w nr. 2 *Myśli Narodowej* o powstaniu stowarzyszenia „Ars Christiana“, którego celem miałyby być troska o podniesienie poziomu sztuki kościelnej. Urągający dobremu smakowi zalew tandety pseudoartystycznej, który dostrzegamy w naszych kościołach, już oddawna był zjawiskiem niezmiernie przykrem. Składy dewocjonaljów, bardzo często otaczane specjalną opieką kleru, który z nich czerpał pokazne materialne zyski, były przepelnione fabryczną gipsową tandetą. Ta szablonowa, pozbawiona wszelkiej wartości artystycznej tandeta rugowała nawet piękne w swojej naiwności dzieła ludowe. Szczególnie w zachodniej Polsce namnożyło się dużo tandety. Gipsowe „figury“ szpecą tam każdą wieś. Istnieje jednak obawa, żeby dotychczasowych nie zastąpiono „pseudoprzymitywami“ robionymi na wzór prymitywów ludowych. Zagadnienie sztuki kościelnej jest bardzo trudne — czy „Ars Christiana“ podola tym trudnościom, jest pytaniem. Należałoby sobie życzyć, żeby społeczeństwo z większym niż dotychczas zainteresowaniem obserwoowało to, co się dzieje na terenie sztuki kościelnej. Dotychczasowe lekceważenie tych spraw przyniosło już dość dotkliwych szkód kulturze polskiej.

POLSCY MONARCHIŚCI. Organem polskich monarchistów jest *Głos Monarchy*. Pismo to jest świadectwem, jak beznadziejnie przedstawia się sprawa stworzenia partii

monarchistycznej w Polsce. Poziom intelektualny pisma jest bardzo niski. Właściwie treść artykułów sprowadza się do formułki magicznej wiary, że monarchia wszystkie trudności rozwiąże. Naiwne artykułki, przedstawiające w sposób prymitywny, jak monarchia staje się motorem rozwoju państw, wywołują wrażenie raczej komiczne. Tak samo, a nawet w jeszcze większym stopniu, ilustracje z współczesnej historii. Król Jerzy nie zdążył się jeszcze na dobre zainstalować w Grecji, a redakcja już pisze: W Grecji lepiej. Oczywiście nie omieszka redakcja gromić Hiszpanji i wskazywać na jej upadek moralny, ponieważ król Alfons XIII został zdehtonizowany. W numerze grudniauwni najciekawszymi i jedynymi wartościowymi pozycjami są odpowiedzi Nowaczyńskiego i Studnickiego na ankietę, czy monarchia jest pożądana dla Polski. Nie sądzimy jednak, żeby monarchiści z powodu tych odpowiedzi mieli powód do wielkiej radości.

**BUDOWA.** W Łodzi zaczęło wychodzić nowe czasopismo literacko-artystyczne *Budowa*. W nr. 1 zwraca uwagę artykuł Władysława Strzemińskiego: „Surogaty sztuki”. Strzemiński atakuje plastykę współczesną, dzieląc ją na dwie kategorie: a) sztuki narodowej (graficy-drzeworytnicy — Skoczylas, grupa „Ład”, malarstwo ludowo-narodowe, Stryjeńska), z) realizm malarstwa. Autor głosi hasła sztuki abstrakcyjnej. Oczywiście, że wywody autora mają znaczenie raczej jako subiektywna wypowiedź artysty niż jako teoria estetyczna. W numerze piękne wiersze Błoka (tłum. Jastrun), Timofiejewa i Kazimierza Sowińskiego.

„WIERNE RZEKI” I „URODY ŻYCIA”. W nr. 3 *Wiadomości Literackich* zamieszczono artykuł Adolfa Nowaczyńskiego przeciw pamiętnikom żony Conrada, która przedstawia karykaturalnie postać wielkiego powieściopisarza. Nowaczyński w sposób ostry koryguje obraz Conrada, zdeformowany przez malomieszczańską umysł p. Jessie Conrad. Pani Conrad, typ kobiety w gruncie niezłej, ale popospolitej, oczywiście musiała niejednokrotnie boleśnie odczuwać współzycie z niezrozumiałym dla niej mężem. To jest jasne. Niezrozumiała jest jednak apoteoza siebie samej — świadczy ona właśnie o popospolitości jej umysłu, niezdolnego do zrozumienia odrębności zasadniczej psychiki Conrada. Przy sposobności nasuwa się uwaga, jak fałszywe są zwykle relacje z życia wybitnych osobistości, podane przez najbliższych im ludzi, pozbawionych najczęściej perspektywy psychologicznej i umiaru. I w Polsce mamy na to przykłady. W tym samym numerze artykuł Helztyńskiego „Citoyenne Przybyszewska” o przedwczesnie zmarłej autorce *Sprawy Dan-tona*.

**HASŁOKRATYZM.** W nr. 22 *Kuźni Młodych* czytamy artykuł o publicystyce szkolnej. Autor, uczeń gimnazjalny, zarzuca swoim kolegom-publicystom nadużywanie hasel. „Przeciętny czytelnik prasy młodzieżowej... jest kompletnie ogłupiony i naprawdę nie wie, gdzie ma pójść, a zahukany mnogością hasel znajduje takie ujęcie, że nie idzie nigdzie i nie słucha niczego. W poniedziałek każe mu iść „frontem do wsi”, we wtorek „tyłem do małych miasteczek”, w środę musi opanować przemysł naszego Państwa... w czwartek upływa ostatni termin przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego...” i t. d. i t. d. Zarzuty te niestety są słuszne; co jednak gorsze, to fakt, że hasłokracja nie objawia się tylko w publicystyce młodzieżowej, ale także ma zwolenników wśród pedagogów, którzy wysilają się na urządzanie najróżniejszych „tygodni” pod różnymi wzniosłymi hasłami. Oczywiście taki zalew hasel, bardzo luźno związanych z sobą, musi wytworzyć chaos w głowach uczniów, a w konsekwencji pogardę i lekceważenie wszystkich hasel. Zagadnienie nadużycia hasel powinno zainteresować pedagogów współczesnych, którzy, jak się wydaje, w najlepszej wierze byli przez dłuższy czas hasłokratai.

W. BAK

## KRONIKA

### REFLEKSJE I UWAGI

*Pisma, mowy i rozkazy* Józefa Piłsudskiego stały się dla współczesnego pokolenia dekalogiem ideowym i zarazem najrzetelniejszym, najprawdziwszym dokumentem historycznym ostatnich kilkudziesięciu lat walki o niepodległość polityczną i gospodarczą Państwa Polskiego i wysoko poj-

owane *morale* naszego społeczeństwa. To też powinny one w jaknajkrótszym czasie dotrzeć do szerokich mas inteligencji polskiej, szczególnie teraz, kiedy w chwilach ciężkich nie krzepi nas już myśl, że w cichym pałacu belwederskim nieustępliwie czuwa Ten, który nigdy nie cofnął się przed wzięciem na swoje barki odpowiedzialności za losy państwa i narodu. Niestety jednak wielotomowe wydanie dzieł Marszałka Piłsudskiego nie jest dostępne dla spauperyzowanej inteligencji polskiej i nie może dotrzeć do tych wszystkich „szarych ludzi”, dla których stanowi nieodzowny zrab ideologiczny. Pełne wydanie *Pism, mów i rozkazów* kosztuje ponad sto złotych i w żadnym wypadku nie może trafić do świetlic organizacyj społecznych, bibliotek szkół średnich i powszechnych oraz domów działaczy kulturalnych i oświatowych. W związku z tem nasuwa się zagadnienie przygotowania i wydania taniej edycji dzieł Marszałka, dostępnej dla wszystkich, choćby kosztem pogorszenia papieru i oprawy graficznej. Sprawę tę poruszył niedawno na łamach *Kurjera Porannego* red. Wieczorkiewicz, przeprowadzając szczegółową analizę możliwości technicznych takiego wydania *Pism, mów i rozkazów*. Przy inicjatywie państwa lub organizacji społecznych wydanie dzieł Józefa Piłsudskiego w wielkim nakładzie i dostępnej dla szerokich mas cenie nie przedstawiałoby szczególnych trudności. Sprawę popularnego wydania dzieł Józefa Piłsudskiego trzeba załatwić jaknajprędzej. Jest to sprawa najważniejsza, niezwykle pilna, nie cierpiąca zwłoki.

Charakterystycznym momentem naszej rzeczywistości kulturalnej jest zastraszająco niska znajomość przejawów jej życia. Szczególnie ostro hierność ta występuje w stosunku do przeszłości historycznej, nieznaną przeważnie ogółowi społeczeństwa polskiego. Muzea świecą pustkami, zabytki architektury nie przemawiają do szerokich mas, wystawy zwiedza się tylko wtedy, jeśli wymaga tego enobistyczna moda pięknoduchów, dyktowana biernemu ogółowi przez dyktatorów mody artystycznej. Turysta zagraniczny, usproszony w grube tomiśka Baedeków i usproszony hiur Cooka, wie o Polsce znacznie więcej od przeciętnego inteligenta polskiego. Jeśli natomiast zwróci się z konkretnymi pytaniami, dotyczącymi pewnych zabytków czy osobliwości, do przedstawicieli miejscowej ludności, rzadko kiedy na konkretne pytanie usłyszy konkretną odpowiedź.

Przed niedawnym czasem ukazała się książka Tadeusza Przyppkowskiego *Piękno Warszawy*. Przeglądając tę ładną książkę, ma się wrażenie, że trzymamy w ręku wspinały przewodnik po jakimś obcym, nieznanym nam mieście. Okazuje się bowiem, że właściwie Warszawy nie znamy. Nie chodzi nam w tej chwili o ocenę samej książki z punktu widzenia historii sztuki czy techniki artystycznej. Sprawa jest przecież natury ogólnej i nie ogranicza się do nieznaności pewnych zabytków architektury i sztuki, które stanowią przedmiot niezwykle ciekawej i pociągającej swą egzotyczną wymową obserwacji. Chodzi raczej o czynny stosunek do zagadnień kultury, o rozszerzenie kręgu zainteresowań i nabycie umiejętności dostrzegania pewnych zjawisk. Nasz proces obserwacyjny ogranicza się jedynie do patrzenia. A przecież nie wystarczy tylko patrzeć: trzeba jeszcze i widzieć i działać. Odcinków zaniedbanych i niedostrzeżonych, które w wysokim stopniu wzbogacić mogą naszą codzienną rzeczywistość, jest bardzo wiele. Jednym z najkapatálniejszych jest właśnie znajomość spraw i rzeczy polskich.

A. CZYZEWSKI

## Wydawnictwa perijodyczne

PIERWSZY ZESZYT TOMU IV  
ŚWIATA I ŻYCIA

Ukazał się już pierwszy zeszyt tomu IV zarysu encyklopedycznego *Świata i Życia* (nakł. Książnicy-Atlas). To pozytywne wydawnictwo rozpoczyna więc już czwarty — i ostatni — rok swego zasłużonego żywota.

Jak się dowiadujemy z okładki zeszytu I, w lutym ukazuje się poza zwykłym kolejnym (II-im) zeszytem *Świata i Życia* numer dodatkowy *Polska*. Numer ten będzie wspaniałym prejum dla prenumeratorów *Świata i Życia*. Sądząc z nazwisk autorów, których prace ukażą się w tym zeszycie (Romer, Czekanowski, Fischer, St. Zakrzewski, J. Krzyżanowski, J. Kołodziejczyk, T. Wolski, J. Lewiński, Z. Lempicki i inni) numer ten zapowiada się świetnie.

Numer bieżący, który właśnie mamy w rękach, stoi na tym poziomie, do którego przyzwyczaiła nas redakcja *Świata i Życia*. Ze względu na techniczne cokolwiek mniejszy, niż zazwyczaj, rozmiarem (zato numer następny będzie miał arkuszy pięć, nie zaś cztery), jest mimo to nadzwyczajnie ciekawą i interesującą lekturą. Czytelnicy znajdą w nim różne ciekawe artykuły ze wszystkich dziedzin wiedzy i życia. Zgodnie z programem założeniami redakcji, poświęcono w nim bardzo dużo miejsca zagadnieniom współczesnym. W zeszycie tym znajdujemy więc instryktywny i przejrzysty artykuł p. t. „Pieniądz” (T. Ślawnicki). Autor tego artykułu porusza w nim w sposób popularny i zajmujący podstawowe zagadnienia z dziedziny gospodarki pieniężnej (organizacja banków emisyjnych, sprawa systemów pokrycia pieniądza papierowego, polityka banków emisyjnych, bilans płatniczy itd. itd. — mało jest naprawdę artykułów popularnych, któreby tak dokładnie wprowadzały czytelnika w zawily system zagadnień monetarnych, jak ten właśnie artykuł. „Początek” St. Gódkowskiego uwzględnia wprawdzie pewien materiał historyczny i pokrótce charakteryzuje najważniejsze etapy historii poczty w całym świecie, nacisk jednak specjalny kładzie na organizację, zadania i metody pracy poczty współczesnej, szeroko uwzględniając pocztę polską. „Policja” prof. Hilarowicza jest nie tylko treściwym poučeniem o istocie i organizacji naszej policji państwowej, ale i dobrą nauką obywatelskiego ustosunkowania się do niej.

Obok tych artykułów nawskroś współczesnych nie brak w *Świecie i Życiu* i pięknych artykułów historycznych. „Persja” doc. dr. Stefana Przeworskiego reprezentuje historię starożytną, „Piastowie” prof. dr. Stanisława Arnolda dają plastyczny, syntetyczny obraz początków naszej państwowości, wreszcie „Pismo” doc. dr. Amelji Herztówny wprowadza bardzo dobrze w zawily proces powstawania pisma. Dobry artykuł przyrodniczy („Pęd i korzeń” dr. Januarego Kołodziejczyka), parę świetnych artykułów z zakresu estetyki („Pieśń” dr. Melanji Łobaczewskiej i bardzo pobudzający, żywy i barwny artykuł doc. dr. Stanisława Ossowskiego) doskonale uzupełniają całość.

Na specjalną uwagę zasługują wreszcie artykuł majora M. B. Lepeckiego jednego z najbliższych współpracowników Marszałka Piłsudskiego p. t. „Piłsudski Józef”. Artykuł ten, napisany przez człowieka, który Marszałka znał osobiście, który z nim współpracował, z nim rozmawiał i podróżował — daje sylwetkę Marszałka ogromnie bliską i serdeczną, podkreśla przytem trafnie tę rolę, jaką Marszałek odgrywał zarówno w historii Polski w niewoli, jak i Polski niepodległej.

Piękne ilustracje w tekście i na tablicach siatkowych, wyraźny, jak zwykle druk, dobry papier — całość bez zarzutu.

\*

### CZTERDZIESIĄTY CZWARTY ZESZYT ZARANIA ŚLĄSKIEGO

Przed świętami Bożego Narodzenia ukazał się czwarty numer *Zarania Śląskiego* za rok 1935, będący czterdziestym czwartym zeszytem wydawnictwa w ogóle, a drugim z kolei, wydanym jako wspólny organ Instytutu Śląskiego w Katowicach i Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie. Zeszyt prezentuje się już zewnętrznie bardzo umiungo zarówno swym wyglądem jak i rozmiarami. Piękna okładka, na której widzimy „Górnoślączkę” w drzeworycie P a w ł a S t e l l e r a, obejmuje sześć arkuszy czystego i estetycznego

## PRACOWNIA NAUKOWA

INSTYTUTU TEATRÓW LUDOWYCH  
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 21  
TELEFON 871-79

Instytut Teatrów Ludowych powiadamia osoby zainteresowane teatrem niezawodowym, że w lokalu Instytutu czynna jest

### PRACOWNIA NAUKOWA

codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10—15 i od 17—19.

Biblioteka Instytutu zawiera publikacje z zakresu etnografji oraz teatrologji ogólnej i specjalnej, ponadto materiały rękopiśmienne, dotyczące obrzędowości ludowej w formie opracowań inscenizacyjnych, zbiory rycin, rysunków i zdjęć fotograficznych, archiwalny zbiór drukowanych sztuk do grania, czasopisma w jęz. polskim (teatralne, etnograficzne, oświatowe, organizacyj mlodzieży), w językach obcych: pisma teatralne, niemieckie, francuskie, rosyjskie, angielskie, włoskie, wreszcie materiały, dotyczące organizacji teatrów ludowych w Polsce i zagranicą.

Z pracowni naukowej korzystać mogą osoby, zajmujące się czynnie lub teoretycznie teatrem niezawodowym. Korzystanie z pracowni jest bezpłatne. Książek, materiałów, pism nie wypożycza się nazwęnatrz pracowni, można z nich korzystać tylko na miejscu.

druku oraz siedm oddzielnych tablic, odbitych na papierze kredowym, z których dwie przedstawiają reprodukcje obrazów Rafała Maleczewskiego z cyklu „Czarna Śląsk”, trzy ilustrują wywody Marjana Gumowskiego o grobowcu Henryka IV we Wrocławiu, a dwie dołączone do studjum Tadeusza Dobrowolskiego o śląskim rzeźbiarzu ludowym, Janie Kuliszu z Boronowa. Prócz tych dwóch prac znajdujemy w zeszycie najnowszym szereg innych artykułów. Na wstępie czytamy wskazówki Wacława Olszewicza o tem, jak pracować naukowo na Śląsku nad zagadnieniami gospodarczymi i społecznymi, a po pracach Gumowskiego i Dobrowolskiego idzie rozprawka Jana Dąbrowy o Pamiętniku „Zwistuna Górnośląskiego” Karola Miarki, dalej rozważania Ludwika Musioła nad akcją „oczyszczania” nazw miejscowości na Opolszczyźnie, wreszcie „Ustęp z dziejów kontrreformacji katolickiej na Górnym Śląsku” Henryka Barycza. Do prac drobniejszych należą wiadomości, podane przez Stanisława Wallisa, o piśmie zbiorowym młodzieży polskiej we Wrocławiu, które pod nazwą „Znicz” ukazywało się w latach 1851—1852, oraz artykuł Józefa Reissa o wycieczkach Górnoślążaków do Krakowa.

W części literackiej znajdujemy piąty rozdział powieści Gustawa Morcinka o Ondraszku (poprzednie ogłoszone zostały przedtem w temże piśmie), uwagi i wspomnienia Marji Pilchówny na temat renegactwa wśród górali wisańskich, oraz wiersze Olgi Regorowiczowej i Jana Szczepańskiego. Niemniej ciekawa jest końcowa część zeszytu, zawierająca materiały, recenzje i sprawozdania, kronikę i notatki oraz przegląd muzealny. W materiałach Ludwik Brożek przypomina szczegóły śląskie z pamiętników Stanisława Staszica, Ludwik Musioł podaje archiwalne dociekania nad nazwami i nazwiskami, spotykaniem w odkrytym niedawno poemacie Rozdzieńskiego, a oprócz tego daje ciekawe przyznki do dziejów zbrojnictwa heskidzkiego, publikując dokumenty, związane z legendarnym do tej pory Klimczokiem, Alojzy Drózd ogłasza dane o zbiorze ewangelickim w Dolnych Błędowicach, a Joachim Wawrzyczek opowiada w gwarze o „Hanysku, eo z krupniokami do piekła jechoch”.

Pismo, będące jedynym perijodykiem nauko-woliterackim na Śląsku, zamawia można w księgarniach lub wprost w administracji „Zarania Śląskiego”, Pszczyna, woj. śl. Prenumerata roczna wynosi 8 zł., półroczna 4 zł., kwartalna 2 zł. Do pisma dołącza się w formie dodatku oddzielnie wydawany „Wykaz literatury bieżącej o Śląsku”.

### SPROSTOWANIE

W artykule K. Czachowskiego o Zofji Nalkowskiej w nrze 1—2 *Pionu* z r. b. należy poprawić omyłki druku: str. 3, szpalta 1, wiersze 8 i 7 od dołu, zamiast: „w wywiadzie ostatnio udzielonym” ma być: „osobliwie często, charakterologicznie”; na szpalcie 2 w wierszu 11 od góry po „wybiera” opuszczono: „najchętniej te, których normy odnajduje w samym sobie. Nawet miłość bliźniego mierzy się”; w wierszu 36 od góry zamiast „kontrakcja” ma być: „konstrukcja”; str. 4, szpalta 1, wiersz 42 od góry po „właśnie” opuszczono: „rzeczy”; na szpalcie 2, wiersz 7 od dołu zamiast „charakterystycznego” ma być: „charakterologicznego”; na szpalcie 4 wiersz 42 od dołu zamiast „racjonalizmu” ma być: „regionalizmu”; str. 5, szpalta 3, wiersz 10 od dołu zamiast „o patronacie” ma być: „w patronacie”.

## „GAZETA POLSKA”

rozpoczęła druk powieści JOHN A GALS WORTHY

## p. t. „ZARZEKA”

w przekładzie MARJI GODLEWSKIEJ

Znakomita powieść świetnego pisarza angielskiego, laureata nagrody Nobla, autora słynnej „Sugi Forsytów”, wprowadza czytelników w dobrze znany świat tej epopei i zapoznaje ich z dalszemi dziejami szeregu postaci, które czytająca publiczność przechowuje w żywej i niesłabnącej pamięci.

Odcinek powieściowy „Gazety Polskiej”, w którym ukazały się dotychczas tak świetne utwory jak „DOLA CZŁOWIECZA” Malraux, „W MŁODYCH OCZACH” Choynowskiego, „DZIEWCZĘTA Z NOWOLPEK” Gojawiczyńskiej i in., wzbogaci się pozatem w roku bieżącym o

NOWE POWIEŚCI FERDYNDANA GOETLA I POLI GOJAWICZYŃSKIEJ

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. zł. 1.80; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.

Wydawca  
Lublin